Nr. 47 (1247). Warszawa, 6 (19) Listopada 1904 r. Rok XXIV.

PRAWDA

TYGODNIK POLITYCZNY, SPOŁECZNY I LITERACKI.

Prenumerata „Prawdy“
(wraz z bezpłatnym dodatkiem):

w Warszawie: miesięcznie kop. 70, kwartalnie rb. 2, rocznie rb. 8, z odnoszeniem do domu

z przesyłką pocztową do wszystkich miejsc Królestwa, Cesarstwa i zagranicy: kwartalnie rb. 2 kop. 50, rocznie rb. 10.

Za zmianę adresu dopłaca się 20 kop.

Adres: Sadowa Nr. 14.

Redaktor przyjmuje interesantów we wtorki i czwartki od godz. 4 do 5 popołudniu.

Rękopisów nie odsyła się. Autorowie prac nieprzyjętych mogą je odebrać, w przeciągu sześciu miesięcy, osobiście w Redakcyi lub za pośrednictwem poczty, po nadesłaniu kosztów przesyłki. Rękopisy drobne nie zwracają się.

Ogłoszenia wszelkiej treści po kop. 10 za wiersz lub jego miejsce.

Przedpłatę przyjmują: Administracya **Prawdy** oraz wszystkie księgarnie, kioski i kantory pism peryodycznych.

Sprzedaż pojedynczych numerów po kop. 20 w Warszawie w Administracyi pisma i w kioskach.

Administracya otwarta codziennie, z wyjątkiem niedziel i świąt ważniejszych, od godz. 10 do 5.

POLITYKA.

NOWY PREZYDENT

Zwołani na d. 8 listopada obywatele amerykańscy dla wybrania pełnomocników do kolegium wyborczego, które w grudniu głosami swymi wskazać ma nowego lokatora Białego Domu, wybrali tak ogromną większością głosów ludzi trzymających z dzisiejszym prezydentem, że teraz już można go uważać za wybranego na czterolecie od 4 marca 1905 r. Na czternaście milionów okrągłej liczby obywateli, którzy do urn stanęli, 8,250,000 wybrało stronników i zwolenników Roosevelta, a jak niepamiętną jest liczba ogólna głosujących — na ludność przeszło 80-milionową — tak nie zapamiętano również i podobnej nad przeciwnikiem przewagi, jaką wykazało głosowanie powszechne: półtrzecia miliona głosów. Zgodnie z tradycyą na Parkera głosowało głównie Południe; tradycyjnie też demokratyczny New-York nie zawiódł swego kandydata, ale tym razem republikanie, popierający Roosevelta, dowiedli ciągłego szerzenia swych przekonań, a przynajmniej dążeń, ze skutkiem, który uszczuplił znacznie liczby demokratów. W stanie nowo-yorskim przewagę mieli republikanie.

Przewaga Roosevelta niesie w sobie zarazem i przewagę Fairbanksa, kandydata republikanów na wiceprezydenturę. Obojętną jest rzeczą ustalenie liczb w kolegium wyborczem na jedną lub drugą stronę: republikanie dziś już bez kolegium zwyciężyli, przeprowadzili obu swoich kandydatów. Zagadkowość woli tkwiła nie w przyszłem kolegium, ale w ciałach wyborczych; z chwilą, gdy te powiedziały, co myślą i czego chcą, wybór jest już dokonanym. Prąd, który wieje, porywa wyborców i wyrzuca z nich elektorów, Rooseveltowi i Fairbanksowi przychylnych, nietylko dla publicystyki jest bardziej od samego wyboru zajmującym, ale i dla samych Stanów Zjednoczonych większą posiada wagę. Słowo dziejów amerykańskich wypowiada nie te czternaście milionów głosujących, ale te półtrzecia miliona republikanów ponad demokratami liczebnie górującymi. Dla przyszłości rzeczypospolitej Waszyngtona, Jeffersona i Lincolna niezmiernie ważnym jest sam fakt tej ogromnej różnicy: śladami jego kroczy samo Przeznaczenie. Stany Zjednoczone, coraz bardziej i coraz nieodwołalniej się republikanizują — w znaczeniu konkretnem, jakiego nabrało stronnictwo republikańskie w Ameryce w ostatnich niełedwie sześciu, siedmiu latach.

Republikanizowanie się to „narodu amerykańskiego“ jest zarazem wyzbywaniem się i republikanizmu i demokracyi. Długo jeszcze trzymać się będą dawniejsze formy i dzisiejsze hasła, właściwe rzeczompospolitym; ale przez nie już ten duch, który Unię utworzył, przemawiać, błyskać i jaśnieć przestanie. Nie ideały wewnętrznego rozwoju: prawa człowieka, podnoszenie go ku światłu, dobru i miłości człowieczeństwa, przejmowanie wiarą w wyższość formy, zespalającej wszystkich nad tradycyjne kształty państwowości w Europie, przestrzeganie u siebie prawa, porządku i czystości uspołecznienia, a czułości na gwałt i niegodziwość u obcych — wszystko, co popłacało dawniej, nie to będzie wytykało drogi rozumom i nerwom — nie! To wszystko już zapada w przeszłość i kto wie, czy dopiero od dziś, od siedmiu lat przez Mc Kinleya rozpoczętych. Wschodzi na widnokrąg amerykański nowe słońce marzeń i żądz, dla którego oni sami, ci ludzie niezatrzymujący się nawet na rozdrożu, wynaleźli wyraz „imperyalizm.“ Jeżeli w tym wyrazie niema wróżby wewnętrznego kiedyś przekształcenia się, jest niezawodna wskazówka obecnego usposobienia. Amerykanie chcą stać się nietylko wielkim narodem, ale i wielkiem mocarstwem świata.

Do drugiego z tych celów doprowadzić ich może tylko wielka siła, potęga zbrojna, i wielka też, z wszystkiemi obcemi mocarstwami w ciągłem zostająca czuciu, polityka gabinetowa. Na chwilę dzisiejszą chcąc być silnymi, Amerykanie potrzebują myśleć o flocie. Myślą też i chcą stanąć w szeregu potęg morskich zaraz po Anglii; ale im to na dziś tylko wystarczy. Gdy raz wejdą w wir, którego nie ukoi nawet rozszarpanie pomiędzy siebie całego globu ziemskiego, sama już siła wypadków, sama konieczność, tkwiąca w każdej namiętności, rwać ich będzie coraz gwałtowniej ku ideałowi potęgi wszystkie przewyższającej, a wstydliwa skromność, usuwająca dziś jeszcze z przed oczu żołnierza lądowego — okaże się już wkrótce naiwną cnotą pensyonarki. Ameryka musi się stać państwem militarnem, doskonale militarnem, mającem i flotę i wojsko, jeśli rzeczywiście w „koncercie“ mocarstw zechce być czemś więcej niż figurantką, wścibiającą palce między drzwi, jak np. teraz przy słynnej imprezie pp. Haya i Roosevelta o nową konferencyę haską. Powoli gasnąć będą ideały, zacznie cierpieć *business* i topnieć pomyślność, wielkie zaś fortuny tylko przy wielkiej krzywdzie społecznej z pracy ludzkiej i zasobów natury powstawać będą mogły. Demokracya w najobszerniejszem i zarazem najgłębszem znaczeniu pływać będzie tylko po wierzchu, a republikanizm

utrzyma się jedynie w formach zewnętrznych państwa, z powodu niemożności wyłonienia się władzy monarchicznej; ale ją wypracować może już wiek przyszły. Wielkie mocarstwo nazewnątrz musi mieć i wewnątrz mocarza. Wtedy dopiero pełną oddycha piersią.

Listy z Niemiec.

Rokosz hererów w południowo-zachodniej, afrykańskiej kolonii niemieckiej nie został dotychczas stłumiony. W jaki sposób wojska niemieckie nad tem pracują, widać z listu pewnego żołnierza, który pisze: „Hererzy znowu wystąpili, ale i to im nic pomoże, gdyż wszyscy nas poczują, jeńców się nie bierze, każdego się zabija."

Tymczasem brutalność urzędników niemieckich oraz zapowiedź krwawej i dotkliwej zemsty po uśmierzeniu buntu hererów wywołały reakcyę, która obala wszelkie kombinacye rządu niemieckiego: Hendrick Witboi wypowiedział posłuszeństwo niemieckiemu pułkownikowi v. Burgsdorff, wraz z nim powstały, jak przyznają już depesze urzędowe, prawie wszystkie plemiona hererów w kolonii niemieckiej, która jest więc niemal we wszystkich częściach objęta wojną. Cóż tedy będzie? Gdy w przeszłym roku lewica parlamentarna zaznaczyła, że koszta wyprawy wojskowej wyniosą z 50 milionów marek, nikt temu nie chciał wierzyć. Dzisiaj mówią już o setkach, a to dopiero początek. Hotentoci są dobrze uzbrojeni niemieckimi karabinami i umieją dobrze strzelać. O cofnięciu się z kolonii rząd niemiecki nie myśli i przygotuje się do długiej walki. Przypuszczalnie stary plan miarodajnych sfer niemieckich, stworzenie osobnej armii kolonialnej, zostanie teraz ogłoszony. Mówią już o wysłaniu 30,000 żołnierzy do zagrożonej prowincyi. Stworzenie takiej armii stanie się bodźcem dla dalszych i szerszych planów kolonialnych i przyczyni się bezwarunkowo do obniżenia poziomu wojska niemieckiego. Tegoroczna dyskusya kolonialna w parlamencie niemieckim będzie bardzo ożywiona.

Szowinizm i zdziczenie kulturalne, oto charakterystyczne oznaki dzisiejszejszej polityki niemieckiej. Drobny napozór fakt świadczy o tem. Magistrat berliński wynajmował dotychczas hale gimnastyczne szkolnych gmachów miejskich na lekcye gimnastyki towarzystw robotniczych, „Sokoła" polskiego i czeskiego oraz na wykłady dla młodzieży gminy wolno-religijnej. Otóż niedawno państwowe kolegium szkolne wydało rozporządzenie do podwładnych rektorów, że towarzystwom tym sal gimnastycznych wynajmować niewolno. Z rzadką jednomyślnością magistrat i rada miejska Berlina zaprotestowały przeciw wtrącaniu się rządu do spraw miejskich. Nadburmistrz miasta zaznaczył z wielką stanowczością w swej mowie, że miasto buduje gmachy szkolne z własnej kieszeni i nie pozwoli nikomu rozporządzać swoją własnością. Na razie magistrat wyznaczył gminie wolno-religijnej inne sale, do których rząd pod żadnym pozorem nie miał prawa, następnie rząd cofnął swe rozporządzenie co do towarzystw robotniczych, pozostawił co do towarzystwa polskiego i czeskiego. Ciekawem jest, czy berlińskie władze miejskie będą miały dość energii, by to starcie przeprowadzić do ostateczności. Nie chodzi bowiem o sprawę jednego lub kilku towarzystw, lecz o obronę zasady samorządu miejskiego. Biurokracya pruska nienawidzi instytucyj gminnych, kierowanych stosunkowo postępowo. Samorząd olbrzymiej gminy berlińskiej bywał już wielokrotnie naruszany przez rząd, przyczem liberalizm berliński, wodzący rej w radzie miejskiej, nie umiał stawić dość stanowczego oporu. Tym razem magistrat i rada wystąpiły zdecydowanie i dobitnie, bo też bezprawie było aż nazbyt jaskrawe.

Od przeszło roku grupa społeczników pracowała nad urządzeniem kongresu reformy mieszkań. Potrzeba reformy prawodawstwa mieszkalnego w Niemczech jest nieodzowną. Stosunki tak się zaostrzyły, że w niektórych miastach ludność klas robotniczych wydaje do 33% dochodu na mieszkanie, w innych — mieszkanie robotnicze to nory, gniazda chorób zaraźliwych. Niedawno ogłoszony projekt pruskiej reformy mieszkaniowej przyczynił się znacznie do aktualności kongresu, który się odbył w połowie października w Frankfurcie nad Menem i mógł być potężną demonstracyą za reformą mieszkaniową, gdyby składał się z przedstawicieli klas pracujących i sfer naukowych szczerze spo- łecznie usposobionych. Tymczasem inicyatorowie kongresu chcieli mieć zebranie, składające się z *wszystkich* warstw. Zaproszono pruskich landratów, przedstawicieli olbrzymich syndykatów kapitalistycznych i zorganizowanych właścicieli kamienic, więc tych, którzy opierają się energicznie wszelkiej reformie społecznej i tak szczególnie ważnej, jak mieszkaniowa. „Nietylko robotnik ma interes w tem, by dostać dobre mieszkanie, lecz i pracodawca, by mu go dostarczyć", powiedział na wstępie drugi przewodniczący kongresu. Zapomniał przytem jednak, że największym interesem robotnika jest niezależność od pracodawcy pod względem mieszkaniowym i że pracodawca w mieszkaniach robotniczych ma potężną broń przeciwko robotnikom! Tam najgorzej robotnikowi, gdzie kapitał jest zarazem właścicielem jego mieszkania. „Właściwie i posiadacz kamienicy ma w tem interes, by mniej zamożni mieszkali dobrze i tanio" — oświadczył dalej tenże przewodniczący, niby nie wiedząc, że w życiu praktycznem jest wręcz przeciwnie. Posiadacz kamienicy uważa ją za kapitał, z którego trzeba wyciągnąć jak najwięcej zysku. Co jego obchodzi, czy ludzie mniej zamożni mieszkają dobrze i tanio? Na kongres przybyli przedstawiciele rządu i zarządów gminnych. Przeciwko nim kongres reformy mieszkaniowej powinien był wytoczyć najcięższe działa. Oni powinni tam byli zasiąść na ławie oskarżonych, w najlepszym razie słuchaczów, a pozwolono im brać udział w rozprawach, jako sędziom decydującym. Nie zrozumiano, że kto jest *za* zasadniczą reformą sprawy mieszkań jest zarazem *przeciwko* interesom właścicieli gruntu i kamienic. Dopuszczając na kongres tak jednych, jak drugich uczyniono poważne obrady niemożliwemi, skazano kongres na zupełną bezskuteczność. Wobec współudziału przedstawicieli najzaciętszych związków przemysłowców, których głównym celem jest zwalczanie zjednoczeń robotniczych, przedstawiciele organizacyj społecznych zaproszenia nie przyjęli, prócz kilku jednostek, które przybyły, jako osoby prywatne. Pierwszy i główny referat był wprost skandaliczny. Kongres zjechał się, w celu obradowania *jak* wprowadzić reformy mieszkaniowe w życie, a główny referent, profesor akademii handlowej, Pohle — Frankfurt, przemawiał tak, że posiadacze kamienic bili mu głośne brawo. Stosunki mieszkaniowe polepszyły się. Podwyższenie komornego nie

ERNEST REINHART.

*

O SŁABOŚCI, BOJAŹNI I CELU.

Przyczynek do poznania istoty ludzkiej.

Najwyższe zło.

Czy znacie ból strachu? Czy mieliście kajdany na waszych piersiach a pięść w waszych wnętrznościach? Czyście czuli wasze udręczone serce, tłukące się w swej klatce i waszą duszę, wyrywającą się z ciała? Czyście liczyli z zamierającym oddechem krople sekund i minuty ciekące? Czyście widzieli u stóp waszego łoża, wyzierające z ciemności, widmo czuwające?

Szczęśliwi, jeśli nie znacie napadów strachu. On jest złem samego zła; przez niego urzeczywistniają się wszystkie męki piekielne. Gdyż wszelki ból znika, kiedy on się pojawia; on stapia kajdany wszystkich cierpień. Jest tak potężny, że jego cień — strach strachu, zgładził więcej ludzi, niż wszystkie namiętności razem wzięte.

Jeśli nie znacie namiętności strachu, to znacie jednak jego cierpienie. Czekacie stroskani na wiadomości, o chorego zaniepokojeni, wyroku wyglądający. Znacie troskę: a więc znacie strach. Znacie zwątpienie: a więc znacie strach.

A jednak nie wszyscy go znacie. Są ludzie, których Bóg tak umiłował, że nie dał im zmysłu zrozumienia najstraszliwszego zła na świecie. Są ludzie, którzy się nigdy nie boją.

Dzieci strachu.

Każdemu stworzeniu dała natura własną ochronę życiową: silnemu broń, słabemu bojaźń.

Wszelka trwoga spogląda w przyszłość. Ona czyni ducha jasnowidzącym, że widzi on wśród niebezpieczeństw teraźniejszych, nadchodzące. Ona węszy prześladowanie i wypatruje to, co jest ukryte. Ona przeczuwa niedostatek i myśli o zapasie, ona obawia się gwałtu i stara się o pomoc. Ona uczy przemyśliwać i zabiegać, usiłować i pożądać.

W chroniącej ręce Boga ona nie czuje się pewną; chce z góry wszystek swój dobytek wyczerpać i przeżyć, wszystkie ubezpieczenia i środki sobie przyswoić. I stwarza sobie bóstwo, które nazywa celem. Jemu oddaje w ofierze siebie i swoją własność, aby ono ją oswobodziło od udręczeń strachu. Ale fałszywy bóg, zawładnąwszy nią, staje się panem jej duszy i z kwitnącej, zapoznanej teraźniejszości gna ją smaganiem furyj w bezpłodną przyszłość, która z każdym krokiem wprowadza ją znowu w równie niezrozumiałą teraźniejszość.

Cel jest grzechem dziedzicznym. Człowieka, który swój ciężar na głowie nosi, który, po za niefrasobliwem obcowaniem z naturą, wyciąga ręce ku sztucznemu szczęściu przyszłości i doli, zwę człowiekiem celu.

Cel i rozum.

Słabego, strachem opanowanego, przez cel strawionego człowieka poucza Atene, mistrzyni: „W otwartym boju—mówi ona— nie będziesz panem rzeczy i stworzeń, których się obawiasz, gdyż twe ramię jest słabe, a twa odwaga wątpiąca. Pod czołem leży twój oręż. Dlatego winieneś myśleć, szperać i wynajdywać; winieneś stawiać pułapki i używać podstępu, czatować i szpiegować; winieneś pytać, uczyć się i zgadywać, podchlebiać, kłamać i obiecywać, handlować i oszukiwać, sprzymierzać się i zgadzać. Kiedy silny groży się — kornie to znosić. Kiedy on używa, ty winieneś

zawsze bywa zjawiskiem niezdrowem, odpowiada ono większej wartości budynków. Właściwie nie może być mowy o nędzy pod względem mieszkaniowym—oto były ostateczne wnioski referenta, które we wszystkich szczerych zwolennikach reformy mieszkaniowej na kongresie wywołały silne oburzenie. Słynny profesor monachijski Brentano oświadczył natychmiast, że wszelkie dalsze rozprawy nie przedstawiają najmniejszej wartości, jeżeli ten referat nie zostanie natychmiast unicestwiony przez dyskusyę. Uchwał żadnych nie powzięto. Dobrze opracowany referat docenta uniwersytetu monachijskiego, dr. Sinzheimera, który zarzucił zarządom gminnym, że dziesiątki lat o sprawę mieszkań nie dbały, wywołał skandaliczne sceny licznych przedstawicieli właścicieli kamienic, krzyk, hałas itd. Cały ten kongres nie miał praktycznego znaczenia.

Na jednem z pierwszych posiedzeń pruskiej Izby poselskiej debatowano nad interpelacyami w dwu bardzo ważnych sprawach. Interpelacya wolnomyślnych żądała wyjaśnienia, czy ministeryum wie, że ochmistrz cesarzowej, hr. Mirbach, korzystał z aparatu państwowego, by zorganizować na wielką skalę zbieranie składek na podarunek z powodu bliskiej uroczystości srebrnego wesela cesarza niemieckiego? Hamerstein wykręcał się, jak mógł, rozróżnieniem działalności „prywatnej" urzędników od „urzędowej." Udowodniono przytem p. Hamersteinowi, że wypierał się publicznie w sejmie rzeczy, o których dobrze wiedział. Cała dyskusya przeszła jednak bez wrażenia, stronnictwa większości uniewinniały ministeryum, jak mogły, a centrum oświadczyło, że chodziło o upiększenie zborów ewangelickich, a więc o sprawę, do której stronnictwo katolickie się nie miesza. Koło polskie odznaczyło się— milczeniem.

Przebieg drugiej dyskusyi był poważniejszy. Chodziło o interpelacyę centrowców w sprawie nadużyć władzy górniczej nad Saarą. Do sprawy tej powrócimy po zakończeniu dyskusyi.

J. K.

TYDZIEŃ POLITYCZNY.

Na mandżurskim teatrze wojny nic się nie zmieniło, chyba tylko to, że każda ze stron ma przeciwko sobie prócz jednego wroga — z armatą, drugiego jeszcze — z mrozem. Zima już się ustalać zaczęła. Nie jest ona wrogiem bezwzględnym; owszem, świadczy przysługę przez utrudnienie walki, której teraz można nie stoczyć w złych warunkach, z zawodem lub klęską. Gdyby ten typ energii przestrzeniowej, który zima na człowieku wyciska, miał się utrwalić, obie strony przeczekałyby może do wiosny na swych obwarowanych pozycyach i wtedy dopiero spadłby na nie moment psychologiczny. Ale na utrwalenie się bezczynności nie pozwoli liczebna niższość Japończyków, a bardziej jeszcze mniejsza w nich, niż w Rosyanach, możność wzrastania w siły. Gen. Kuropatkin miał dotychczas i mieć będzie na przyszłość wszystko do zyskania na czasie; Japończycy od początku mieli czas, tj. zwłokę, powolność i niestanowczość w działaniach, przeciwko sobie, mieć go będą w wyższym jeszcze stopniu i teraz, już tylko jako czystą wielkość dni, upływających za dniami bez czynu. Ze szczegółowych bardzo doniesień głównego sztabu mukdeńskiego nie widać rozmachu do większych działań ani po jednej, ani po drugiej stronie. Uderzającą jest wiadomość o wywiadowcach rosyjskich na wschód od Banjapudzy, gdzie się załamuje Sza-ho, czyniąc stanowisko to niezmiernie ważnem w obecnej strategii. Baniapudza wraz z całym lewym brzegiem Sza-ho leży na linii czołowej Japończyków.

Pod Portem Artura postęp ustawiczny, ale powolny. Twierdza otrzymała żywność i dzięki temu telegraf bez drutu, łączący ją z Czyfu, może zapewnić, że gen. Sztesel ma nadzieję utrzymać się do N. Roku: byłoby to wiele, tem więcej, jeżeli miał na myśli rok swój, a nie ogólnie-europejski. Dobrodziejstwo dżonek chińskich okazało się i teraz w dostarczonej żywności. Japończycy podobno obostrzyli blokadę. Depesze ustne Chińczyków mówią o załodze i garnizonie z 20,000 ludzi: liczba niewątpliwie za wysoka. Panujące choroby codzień zmniejszają tę, która jest rzeczywiście, a którą na jakie 12,000 ocenić można: z tego więcej niż połowę, około 8,000, zabiera obsługa fortów, reszta pozostaje na walki między fortami, na wycieczki i odpieranie napadów. Gen. Nogi podobno odmówił zawieszenia broni jakoby dla pochowania trupów, których już stosy całe niepogrzebionych się nagromadziły.

Adm. Rożestwenskij przepłynął już Dakkar, ma przy sobie kontradmirała Enquista, ma i „Kamczatkę," która pierwsza widziała torpedowce japońskie pod Dogger Banks. Kontradmirał Felkersamb płynie z mniejszą częścią floty drogą o wiele krótszą, przez m. Czerwone, ale nie słychać jeszcze, ażeby na nie wpłynął. Dodatkowej eskadry baltyckiej z dwóch krążowników i drobnych statków z otwartemi ramiony wyczekują Duńczycy na swych baltyckich wodach. Zaopatrzą ją w przewodników i w węgiel.

Komisya śledcza, dyplomatyczna jeszcze śpi w macierzyńskiem łonie przyszłości. Nie będzie ona już miała praktycznego znaczenia; nie wzbudza też zajęcia; można z góry przewidzieć sumę jej operatu: dowódca rosyjski miał powód dostateczny do mniemania, że rybacy w Hull są Japończykami, wszystko zatem skończy się dla Rosyi jak najpomyślniej. Anglicy po śledztwie *coronera* prowadzą teraz ministeryalno-handlowe; przewodniczy mu adm. Bridges. To śledztwo posłuży już do stwierdzenia podmiotowej prawdy, od interesów politycznych niezależnej.

Dzienniki niemieckie windykują dla cesarza Wilhelma zasługę ugłaskania Anglii, przyznawaną Francyi: on to miał swojem *Quos ego* zaciążyć na postanowieniach angielskich. Niemieckiemu również dziennikarstwu dostała się teraz na ząb Anglia z powodu podejrzeń rzucanych na Niemcy o życzliwość dla Rosyi, przekraczającą znacznie granice życzliwej neutralności. Niepoprawny p. Hannoteaux nie przestaje podawać Rosyi różdżki oliwnej. *Now. Wrem.* daje mu grzeczną odprawę: dobry człowiek, ale głupi; Rosya nie zawrze pokoju, dopóki jest armia japońska w polu, dopóki ostatni Japończyk nie zejdzie z lądu Azyi — odpowiedź z pod pióra A. Suworyna znacząca. Zatem Korea dla Rosyi: za lat dwadzieścia nie będzie Japonii.

W Europie świetne wybory włoskie — dla rządu: na 508 mandatów 360 rządowych. Wybory uzupełniające odbyły się w niedzielę. Manifestacye w Medyolanie, Bolonii, Florencyi — przeciwko Austryi. Iskra z Insprucku zapaliłaby całe Włochy, gdyby p. Giolitti, fabrykant wolności włoskiej, tego zapragnął.

W Peszcie bójki o regulamin Izby, mający do niej wprowadzić porządki o wiele łagodniejsze od angielskich i francuskich, uśmierzył Stefan Tisza artyleryą narodową i dwuletnią służbą wojskową w całej monarchii. Grzmiące oklaski podziękowały mu za to zadośćuczynienie ambicyi narodu. Nie przeszkodzą one jednak dalszemu zakłócaniu obrad przez mniejszość — z powodu regulaminu.

---

zbierać. Kiedy on marzy, ty masz wiedzieć. Tak idź w świat, bądź mądry i zwyciężaj.

Tym sposobem z człowieka celu został człowiekiem rozumu. Lecz rodowód jego umysłu jest taki: słabość, strach, cel, rozum.

Fizyologia człowieka celu.

Człowiek celu jest tworem cierpienia. Westchnieniem rozpoczyna swój dzień roboczy, gdyż nowe słońce oświetla niebezpieczeństwa i kłopoty. Zwyczajne mu są biczowe smagnięcia strachu; z czego silny śmieje się, przed tem on dygoce. Jego serce uderza mocno na widok niezłamanych pieczęci, zamkniętych drzwi. Krocząc w kajdanach trwogi, nie zna, co to jest spokój duszy, który czyni wesołym, wolnym, szczęśliwym.

Nawet w używaniu nie zatraca się. Jego czoło nie może się całkiem wypogodzić, serce swobodnie uderzyć; a jeśli człowiek chwili z głębi piersi zaśpiewa i poraduje się, to człowiek celu wyda tylko śmiech zmieszany i udręczony.

On nie może do uczty zasiąść. Jego oczy widzą pośród stołu widmo nadchodzące, a goście wydają mu się szaleńcami. Rozkosz on czerpie tylko w pijaństwie, w odurzeniu, po złodziejsku, w poczuciu winy i skruszę.

Bólowi dogadza niewolniczo, bezmiernie, nienasycenie, z lubieżnością, gdyż ból uśmierza cokolwiek jego trwogę, co więcej: przyznaje mu słuszność. Tylko jeśli z po za pierwszego zła dojrzy zagrażające większe, kurczy się wściekle i zachowuje pozorną wielkość. Wówczas uważa się i jest uważany za męczennika.

Śmiech, który u człowieka zdrowego jest jedynie przyrodzonym dźwiękiem radości, u mędrca występuje, jako reakcya na dowcip. To znaczy: jako szybkie zauważenie niedorzecznego w masce jednorodności; niby pół-radość z cudzego nieszczęścia. To, co opaczne, głupie, słabe, nadewszystko bezcelowe, dostrzega on bystro i dlatego jest podejrzliwym pesymistą, krytykującym sceptykiem. Podziw jest dla niego uczuciem bolesnem, gdyż nie podnosi go, lecz poniża, więc też zwraca się z nim do tego, co znienawidzone, zapoznane, umarłe: najchętniej do Boga.

Boga się boi i stara zjednać go dla swego celu. Ale jeśli bojaźń tę pokonał — dla niego jest to ulga, gdyż kochanie bóstwa nie jest dla niego potrzebą — to cynizm jest jego zemstą na strąconem bożyszczu.

. . . .

Jak rzeczy, których boi się człowiek celu, są istotne i dotykalne, tak i duch jego musi nieprzerwanie trudzić się rzeczywistościami. Jest on chciwy wiedzy, a szczególnie pożąda faktów, ciekawy. Obok nich nadaje znaczenie niektórym prostym związkom; pewna jasność mechaniczna, teorya namacalna wydaje mu się dla jego celu odpowiednią. Radość z myśli i rozmyślanie, jako cel samo w sobie, jest mu obce. Świat nie służy mu za narzędzie. Opanowanie zjawisk przez ducha jest dla niego spekulacyą upiorną. Żadnych cudów, gdyż wszelkie myślenie czyste żywi się siłami duszy. Uczucie, fantazya, miłość, natchnienie muszą na swoich skrzydłach wznieść ducha, jeśli on chce spokojnie dumać nad pstrokatym światem osłon bytu. Ale dla człowieka celu natchnienie (które on chętnie udaje) jest zasadą bezwzględnie głupią, słabym punktem, dostrzeżonym w przeciwniku.

Ponieważ wszelkie myślenie twórcze musi być marzycielskiem, a więc w pojęciu ogólnem niejasnem, chwiejnem i nagannem, więc tu dla jego zakresu ustanowione są granice. Banalne myśli, przekonywająca trywialność, mocny dowód dogadza jego duchowi, powikłanie i paradoks zastępują mu głębię i prawdę.

Kto wzrok spuszczony i w siebie zapatrzonego ducha na ziemię ściąga, ten nie

Bulgarowie dostali 100 mil. od Francuzów; kilkadziesiąt zostawią we Francyi za działa, amunicyą i karabiny. To zbrojenie się zapowiada za jakie dwa lata, po rozwiązaniu kwestyi japońsko-chińskiej, rozwiązanie kwestyi wschodniej.

P. Roosevelt d. 8 b. m. na 476 wybranych członków kolegium wybierającego prezydenta ma za sobą trzystu kilkunastu: będzie więc prezydentem. Okólnik Haya o nową konferencyę w Hadze złożony będzie *ad acta*.

Z Dalekiego Wschodu.

KLUCZ WSCHODU.

(Ciąg dalszy).

W spisie słynnych ludzi wymienieni są:

— On cziun-ha, który, kiedy żołnierze Kö-gu-riö przyszli zamordować króla Silla, przywdział suknie królewskie, udawał monarchę i został zamiast niego zabity.

Sol-som-du, który jako poseł udał się do Chin i skłonił je do wojny z Kö-gu-riö.

Pak-kjul, albo „Sto płatków“ — twórca słynnej pieśni „O łuskaniu ryżu.“

Päk-cze-sań, który ułatwił ucieczkę bratu królewskiemu z Japonii; torturowany powiedział, iż wolałby być psem w Silla, niż urzędnikiem w Japonii.

Ji-sa-pu, który napadając na wyspę Ul-lōng-do, umieścił na łodziach drewniane lwy rzeźbione i zmusił w ten sposób wyspiarzy do poddania się bez oporu.

— Sök-u rö, który znieważył japońskiego posła, wypowiadającego wojnę Silla; został wydany japończykom i ci spalili go żywcem, ale wdowa jego w następnym roku otruła przybyłego znowu przedstawiciela Japonii. Wreszcie pomieszczony jest tam spis 44 urzędników cnotliwych, a na ich czele wielkorządca Silla już z ramienia królów Ko-riö, niejaki Ua jand, który tak był kochany przez ludność prowincyi, że zbuntowani mieszkańcy Kön-cżin, ujrzawszy go natychmiast się uspokoili.“ [1]).

W tych nikłych zarysach doskonale można rozpoznać połączone obrazy Chin i Japonii, których wpływy na półwyspie coraz ostrzej zaczynają się ścierać. Szczególniej uderza podobieństwo starożytnej Korei do Japonii; ta sama część gór, ustrój arystokratyczny, sławienie wierności wasalów, czułości kobiet, tańce, których nie znają Chiny, naiwne bohaterskie lub miłosne legendy. Niższa w początkach kulturalnie Japonia zdobywa jednak bardzo wcześnie przewagę polityczną nad Koreą.

Już w poselstwach wysyłanych przez Japonię do Chin w III i IV stuleciu wymienieni są, jako podwładni, „pełnomocnicy i naczelnicy wojskowi sześciu państw korejskich.“ [1]) Ale szczytu swego wpływu dosięga ona w X wieku, kiedy powstanie pod wodzą Oan-giona, potomka dawnych królów Kö-gu-riö, niszczy zwierzchnictwo chinofilskie Silla i zakłada na półwyspie nowe państwo Ko-riö (po chińsku Gao-li) ze stolicą w mieście Son-do (obecne Kä-siön na pograniczu północnem prowincyi Kion-gyj-do w środkowej Korei). Cztery stulecia ponowania dynastyi Oan są epoką rozkwitu oświaty ogólnej, nauki korejskiej, sztuki oraz buddyzmu, który uznany został za religię państwową. Choć wolna od dawnej względem Chin zależności, Korea podtrzymuje z tem państwem stosunki przyjazne i korzysta z pełnego blasku ruchu umysłowego z czasów dynastyi Sun, po której upadku rząd korejski nabywa część nankińskiej biblioteki pałacowej (1313 r.). Szeroko rozlewające się czytelnictwo sięga warstw ludowych i wprowadza wśród pisarzy korejskich użycie, obok chińskiego i hieroglificznego pisma, znaków ludowego alfabetu dźwiękowego [2]).

Okres względnego spokoju, przerwany jedynie w początkach XI stulecia najściem kindaniów, trwa do XIII wieku, kiedy hordy mongolskie nagle zalewają Koreę i po 30-letnich walkach wcielają ją ostatecznie do swego ogromnego państwa. W 1256 r. król korejski musiał udać się osobiście na dwór chana dla złożenia hołdu poddańczego. W 1266 r. mnich Czingisa Chubilaj (Kubłaj) wyrusza przez Koreę na zawojowanie Japonii; haniebnie pobity, ponawia w kilka lat swoją wyprawę. Oba razy wojska korejskie zniewolone są towarzyszyc mongołom. Po ostatecznem zniesieniu armii Chubilaja na brzegach Japonii, ucisk mongolski w Korei wolnieje i pod koniec panowania mongołów w Chinach Korea już nie płaci im daniny. Natomiast Japonia, zdaje się, że po raz pierwszy spostrzega niebezpieczeństwo grożące jej z tej strony. Widmo zdobywców, którzy, przechodząc przez Koreę, jak po moście, godzą na jej niezależność, już jej nie opuszcza ani na chwilę. Udział Korejczyków w napadzie zwiększył japońską nieufność i trwogę o przyszłość. Od tej chwili w ciągu wielu lat nie ustają dorywcze wyprawy korsarzy japońskich w celu opanowania wysp i brzegów w cieśninie korejskiej.

W 1368 roku upada w Chinach dynastya Mongolska; następująca po niej dynastya Miń żąda od Korei daniny i przyznania znowu protektoratu chińskiego. Ostatni król Kö-rio odmawia. Ale w wojsku wybucha bunt pod wodzą I-siön-ge, głównego wodza korejskiego, który kończy się złożeniem z tronu starej i wstąpieniem nowej linii królów „Dzo-siön“ [1]).

[1]) Korean Repository, 1898, November: Urywek tłomaczony przez H. B. Hulberta z wielkiej, dwudziestotomowej, korejskiej encyklopedyi geograficznej, wydanej w latach 1451—53, ułożonej przez korejskiego uczonego, Sa sim (podpisującego się pseudonimem No-so-ia) i uzupełnionej w 50 lat potem przez So-ko-junga (pseud. So-sa-ga).

[1]) D. N. Anuczin: „Przyczynek do charakterystyki Japończyków,“ *Russk. Wied.*. 1904, nr. 183.

[2]) Wynalazek znaków „i—do,“ albo „i—muń“ przypisują niejakiemu Cziöl-dzon'owi z Silla w 692 roku, używano ich jako wstawek w szeregach hieroglifów chińskich dla oznaczenia fleksyi, spójników, przedimków oraz innych potrzeb gramatycznych, obcych językowi i piśmiennictwu chińskiemu a koniecznych w języku korejskim. Obecny alfabet korejski „o—muń“ miał powstać o wiele później i również został niby wynaleziony przez jednego z królów dynastyi Sie-dzon w 1443 r. Ale bliższe badania wykazały w nim pierwiastki sanskryckie, syryjskie i żydowskie, które wraz ze znakami mongolskimi, mandżurskimi i turańskim alfabetem „kiu,“ runami ujgurów i pismem tunguskiem „kidań“ złożyły się na ostateczne ukształtowanie znaków korejskich „o-muń.“ Przybyły one do Korei z północy, z państwa Ko-gu-riö o wiele wcześniej, niż to podają kroniki i zdradza bliskie pokrewieństwo z „kara-ganą“ i „kata-ganą.“ ludowymi alfabetami japońskimi, które przypuszczać należy, że wprost od nich pochodzą.

[1]) W Silla od 57 roku przed N. Ch. do 661 po N. Ch. panowało 30 królów z rodzin Pak, Ciök i Kim W Kö gu-riö od 37 r. przed N. Ch. do upadku państwa w 668 r. panowało 28 królów z dynastyi Ko. W Päk-czie od 78 roku przed N. Ch. do upadku w 660 r. panowało 31 królów z dynastyi Pu-iö (Fu-ju). W epoce połączenia trzech państw pod zwierzchnictwem Silla (thon-hap) panowało 23 królów Kim i 3 królów Pak. Ostatni złożony z tronu przez Ko-riö, był z familii Kim w 935 r. Z dynastyi Ko-riö, Oan pa-

---

pojmuje, że samo istnienie może być źródłem szczęśliwości; nie zna on dumnej uciechy z własnej siły i piękności, ani z siły i piękności świata. A jeśli w sobie samym nie ma żadnej radości, to musi wierzyć w rzeczy, które ją dają i ich pożądać.

Więc łaknie tego, co jest dla niego surogatem uciech świata — używania. Co więcej: zgodnie ze swoim, ku przyszłości zwróconym umysłem, łaknie nadziei i praw do rozkoszy. A ponieważ, nieskosztowawszy, wzgardził najwyższą radością, więc niezaspokojony i podniecony ubiega się za tem, co rzadkie. Winą swoich narządów obarczając rzeczy, od trudno dającego się osiągnąć spodziewa się tego, czego mu odmówiła jego, w obietnicach rozkoszy zawodna, natura. Obce kraje, rzadkie potrawy, sztuczne zapachy, najzuchwalsza sztuka, najwykwintniejsza kobieta jest jego marzeniem i pożądaniem. A kiedy przed każdą nową zdobyczą, zgrzytając zębami, wyznaje, że ona także jest niczem, staje się ofiarą bezwolną pięści Demona, który gna go ku złudnemu obrazowi na pustyni.

. . . .

Bezsilny zazdrości mocnemu jego siły. W świadomości, że własnej istoty do tej siły nie wyćwiczy, stara się on moc władzą zastąpić. Wyrosły z niewolnictwa, chce niewolnikom rozkazywać, strachem nękany — strach budzić. Miecz, którego jego ramię podnieść nie może, muszą silniejsi, liczniejsi, niezliczeni, mądrością, podstępem, umową, prawem zniewoleni za niego dzwignąć. Nic ożywia go radość tworzenia i rozporządzania. Bezosobowa władza nic mu nie mówi, gdyż obcą mu jest wewnętrzna, odpowiedzialna istota panującego; dla niego wszystkiem jest mechaniku zewnętrzna, skinienie, zgięcie kolana. I ostatecznie zadawala go pozór władzy, o ile strachu lub zazdrości nie budzi.

Lecz skrępowany bezustannem sądzeniem i rozważaniem swych sił i swej istoty, sam jest owładnięty niepewnością, oddany w moc zwątpienia. Ciągle potrzebuje pocieszania i upewnień; a ponieważ nie znajduje ich w pustej klatce własnej piersi, więc żąda od najbliższych. Dla niego ma ważność sąd innych. Sobie samemu jest tem tylko, czem się innym wydaje. Uznania pragnie, domaga się, błaga o nie. A najmilsze mu jest takie, które czy na pargaminie, czy w metalu, zostanie utrwalone, zdala widne i raz na zawsze od wszelkich sprawdzań uwolnione.

Takiem jest to, co ludzie nazywają, próżnością i uroszczeniem, najwyższa ze skromności, która jest prawdziwą poddańczością. Próżny mówi do świata: ty jesteś moim sędzią i rozkazodawcą. Tylko wtedy, kiedy ty mnie uznasz, staję się sam dla siebie człowiekiem; dlatego błagam cię (najchętniej zmusiłbym), chwal mię, podziwiaj, mów o mnie, abym mógł przez ciebie uwierzyć w to, o czem sam wątpię. Tym sposobem staje się on ludziom wstrętny, gdyż żąda od nich dwu rzeczy, których oni jednocześnie nigdy nie dają: podziwu i zazdrości. Będzie ich oszukiwał, że zwrócą nań swą uwagę, ale potem odsuną się od niego. On ich potrzebuje, bo od nich bierze siłę do życia, choćby nim nawet pogardzać mieli. Dlatego jako pan jest niemożliwy.

Zatem myśl bojaźliwego zwraca się ku trzem rzeczom: używaniu, władzy, uznaniu. Że bogactwo jest też jedną z nich, łatwo zrozumieć.

Kilku liniami można obraz uzupełnić i rysom człowieka nowego upodobnić.

Żadnej głębi. Kto się boi, musi zostać oportunistą, gdyż nowe niebezpieczeństwa wymagają nowego odparcia. Głębokie i prawdziwe przekonanie, które u człowieka silnego wypływa z miłości dla sprawy jest mu niewygodne, samej zaś sprawy człowiek celu też nie kocha, jest ona dla niego narzędziem obojętnem. Ale kto nie

I-siön-ge miał pochodzić z okolic Genzanu, z rodziny wieśniaczej. Służąc w wojsku, odznaczył się, został mianowany głównodowodzącym całej armii i przez zaślubienie córki królewskiej zajął wyjątkowe stanowisko u dworu. Starał się skłonić swego teścia, ostatniego króla Oan, Konjana, do reform, ale zepsuty i niedołężny monarcha nie mógł ukrócić swawoli i bezrządu szlachty. Gdy Chiny zagroziły wojną za odmowę daniny, I-siön ge skorzystał ze wzburzenia w wojsku, zawładnął stolicą i wysłał natychmiast do Nankinu gońców z oświadczeniem swej zależności lennej oraz z prośbą o uznanie go królem Korei i przywrócenie panstwu, a zarazem jego dynastyi starożytnego miana „Dzo-siön.“ I-sion-ge w historyi Korei odegrał taką samą rolę, jak Piotr Wielki w historyi Rosyi. Wzorując się ślepo na Chińczykach, wzmocnił władzę królewską, zbiurokratyzował urządzenia, wprowadził chiński ubiór, chińskie zwyczaje, chińskie prawodawstwo i wyłącznie chiński język w urzędowaniu i literaturze. Konfucyanizm został uznany za religię państwową i rozpoczęto nielitościwe prześladowanie buddyzmu. Wprowadzono chinskie egzamina państwowe i kolegium Konfucyusza (Siön-giun goań), odpowiadające ministeryum oświaty, zaczęło odgrywać ważną rolę w zarządzie, szerząc gwałtownie chińszczyznę wśród ludu ¹). Stolicę przeniósł I-siön-ge do Seulu (Hań-siön) i podzielił kraj cały na 8 prowincyj. Prowincyami zarządzali gubernatorowie (koań-cchal-sa, inaczej kam-sa) za pośrednictwem dwóch sekretarzy przybocznych: wojennego (cżiun-guń) i cywilnego (to-sa). W razie zaburzeń, miejscowości dotknięte niemi oddawane były pod zarząd niezależnych generał-gubernatorów (ań-mu-sa, co znaczy „pogromca“). Miasta były podzielone na cztery rodzaje: 1) miasta wielkie, „cżiu,“ rządzone przez „pasterzy“ (mok-sa); 2) miasta średnie, „pu,“ z „opiekunem praw ogólnych“ na czele (to-ho-bu-sa, albo „pu-sa“ w skróceniu); 3) miasta pomniejsze, „kuń,“ z „ochmistrzem“ (kiu-su); 4) miasta małe, „chiön,“ rządzone przez „chiön-niönów.“

Państwem rządziła Rada Najwyższa (Yj-czion-bu), składająca się z trzech książąt (sam-goń), przybocznych doradców króla. Tytuł członka rady był dożywotni, ale istotny w niej udział miały tylko trzy osoby, zmieniające się kolejno. Równolegle istniała Rada Królewska, która składała się z prezesa, 2 radców, 6 starszych i 8 młodszych asesorów, oraz 8 asesorów nadzwyczajnych, 1 registratora i 3 sekretarzy. Rada zbierała się raz na miesiąc w obecności króla.

Poszczególnymi wydziałami zarządzały izby („dzo“); było ich sześć: 1) urzędów, 2) finansów, 3) obrządków, 4) wojny, 5) sprawiedliwości, 6) robót publicznych. Między izbami a królem pośredniczyła „izba pośrednictwa“ (sy-cżion-non), przedstawiająca coś w rodzaju przybocznej kancelaryi królewskiej. Na jej czele stali „syn-cżi,“ czyli „sprawozdawcy królewscy.“ Prócz tego istnieli „tajni rewizorowie“ (ö-sa), którzy wysyłani byli na prowincyę dla sprawdzania rządów gubernatorów i innych urzędników ¹). Podróżowali w przebraniu, otoczeni przebraną strażą i byli obdarzeni wielkiemi prawami. Mogli zrzucać urzędników z miejsc, więzić, wszczynać przeciw nim sprawy karne, a podrzędniejszych nawet skazywać na śmierć.

Sądownictwo pozostawało całkowicie w rękach administracyi. Drobne sprawy po wsiach sądzili wójtowie; wyższą dla nich instancyę przedstawiał naczelnik powiatu, który przesądzał większość spraw nieodwołalnie. Bardzo ważne sprawy szły do gubernatora lub nawet ministra. Sprawy kryminalne sądził sąd, od którego wyroku wolno się było odwołać do gubernatora. Sprawy polityczne rozpatrywał Sąd Najwyższy; on również sądził szlachtę i urzędników...

(C. d. n.)

W. Sieroszewski.

nowało 37 królów do upadku w 1392 r. Od tego czasu rządziło Koreą 34 królów z panującej obecnie dynastyi „Dzo-siön.“ Ogółem w ciągu bez mała 2000 lat panowało w Korei 186 królów.

¹) Korean Repository, 1896 r., str. 344, cyt. według „Opisu Korei.“

¹) Coś w rodzaju rosyjskich „rewizyj senatorskich,“ tylko otoczonych większą tajemniczością i obdarzonych większą władzą.

ŻYCIE SPOŁECZNE.

Murzyni w Ameryce.

II.

Oprócz nieobyczajności oraz życia publicznego i gospodarcze zachowanie się murzyna ma służyć za dowód jego niższości. Lenistwo i lekkomyślność w życiu zarobkowem świadczyć mają, że do pełnej odpowiedzialności za własne czyny nie jest stworzony i, że praca niewolna jest dlań najodpowiedniejszą. I tu trzeba się liczyć z wpływem psychicznym długiego okresu niewoli, którego działanie może trwa jeszcze. Niewolnik, któremu praca nie zapewniała poprawy bytu, którym nie kierował wzgląd żaden na losy żony, dzieci lub własną starość, musiał gorzej pracować, niż wolny robotnik biały. Bezpośrednio po tem stał się wolnym. Reakcya przeciw znienawidzonemu przymusowi ujawniła się najpierw niechęcią do wszelkich wysiłków stałych. Ale w lat niewiele potem obudziły się ambicye gospodarcze. Założona przez rząd kasa oszczędności dla puszczonych na wolność liczyła wkrótce 75,000 depozytaryuszów i 55 milionów dolarów wkładek. W r. 1874 kasa runęła z winy białych dyrektorów. Bankructwo to uważać trzeba za nieszczęście narodowe, bo biedny murzyn przez stratę swych ciężko zapracowanych oszczędności popadł znowu częściowo w zniechęcenie i obojętność. Po dziś dzień trwa pono jeszcze przykry wpływ tego zdarzenia. Ale mimo to murzyni postąpili naprzód. Sam Hoffmann przytacza cyfry, które świadczą o ciągłym wzroście majątków murzyńskich i słychać głosy poważne, które o murzynach-robotnikach dają jak najchlubniejsze świadectwo. Jeżeli zaś on tu i owdzie stawia wysokie wymagania i stara się o robotę lepiej płatną, co mu pracodawcy zarzucają, to chyba nie dowodzi to wcale jego lekkomyślności i apatyi. Ciekawe pod tym względem są wywiady „Tradesmana,“ w których wzięło udział 196 przedsiebiorców, zatrudniających 7,395 czarnych robotników; 978 wśród nich posiadało uzdolnienie w swym

---

ma przekonania, ten i przekonywać nie może; kto nie nosi w sobie masy i ciężaru osobowości, ten nie może przezwyciężyć lenistwa duchów. Ponieważ tylko człowiekowi, świadomemu swego celu, chodzi o to, żeby oddziaływać na innych, przeto staje się gadatliwym, wszędzie wciskającym się i natrętnym. Jest on wynalazcą superlatywów i hyperbol. Gdyż w niewolniczości swej przywykł i pogodził się z tem, że mu niechętnie i tylko przez pół wierzą.

Pożądanie ludzi. Samotność podsyca bojaźń. Dlatego ucieka on między ludzi, zwłasza sobie podobnych, którzy służą mu do wszystkiego. Oni go odurzają swą gadatliwością, karmią jego ciekawość, poddają się wpływowi i sprawiają mu uciechę równego rodzaju interesami. Tak wielkiem jest w jednostce pragnienie ludzi, że ona zaledwie spostrzega bliźniego bez pożądania go w duchu. Chce wiedzieć, kto on jest i czem się zajmuje, chce wywrzeć na nim jakiekolwiek wrażenie, podobać mu się, zaimponować lub zadziwić, a jeśli wszystko zawiedzie, przynajmniej w taki sposób pokonać go i posiąść, żeby go krytykować.

Rozmowa stęsknionych za ludźmi jest walką, z której oni powracają świadomi zwycięztwa, jeśli przeciwnika znajomością rzeczy, argumentem lub przesadą zmusili do odwrotu.

Naturalnie, w oczach człowieka świadomego celu ludzie dzisiejszych czasów stanowią stopień do wartości i doskonałości. Chciwie przeto drapie się ze szczebla na szczebel i zapomina, że stojącym na wyższych, nienawistną jest jego teraźniejszość, na niższych—śmiesznym jego wygląd z dołu.

Sposób myślenia. Jedynem ogniskiem jego myśli jest on sam. Jak przyczepione do nici elastycznej wraca każde jego wyobrażenie do jego własnego „ja“. Jego myśli robią wycieczki, ale żadnych podróży badawczych; dlatego lot ich trzyma się w granicach prostych poruszeń mechanicznych i małych odległości. W bezpośredniej bliskości myślowej swego ja zna on każdą drogę i ścieżkę, dlatego mistrzem jest w motywowaniu, wykrętach i sztuce dyalektycznej.

W jakim stosunku jestem do tej rzeczy i tego faktu? Co ja mam z tem począć? Co to jest warte? — To są formy myślenia, do siebie wszystko sprowadzającego, pojmowania, obracającego się bezustannie w kole krytyki i określania wartości.

Nawet kiedy duch, popuściwszy cugli, samemu sobie pozostawiony być winien, własną drogę wybrać, człowiek, przez cel opanowany, marzy o rzeczach w najwyższym stopniu osobistych i praktycznych: „Przypuśćmy, że to lub owo się stanie: co ja odpowiem? Jak mam się zachować? Jak mam działać?“ Tak sam przed sobą będzie grał komedyę.

Nic też dziwnego, że on wkrótce poznaje każde instynktowne poruszenie swej duszy, jak mechanizm zegarka i uczy się spoglądać na siebie samego przez ramię, z niedyskretnem zadowoleniem. Tej sztuce, na której spoczywa znaczna część działania naszej dzisiejszej literatury, zawdzięcza on tajemne wejrzenie w dusze innych i ich najdelikatniejsze objawy. Zapewne, takie wszeteczeństwo ducha niszczy ostatnie ślady skromnej naiwności, tym sposobem człowiek celu stoi bezradny wobec chwilowych, silnych postanowień mocnego, które, jak gdyby podyktowane przez Boga, niewzruszone, niby prawda, same się dobywają, nie wymagając myślenia. Tylko bowiem czysty, zaufany w sobie instynkt jest zdolny do takiej pewności żądań, odparcia i sądu, której nie zbłąka gadatliwe krętactwo najsubtelniejszego umysłu.

(C. d. n.)

fachu; 29 przedsiębiorców z 1,379 czarnymi robotnikami stawiali na równi pracę białych i murzynów; 35 z 1,441 murzynami przekładało pracę białych; 49 z 2,214 murzynami zaś pracę czarnych robotników!

Stanowisko, jakie zdobył sobie dotychczas murzyn w życiu gospodarczem, tem poważniejszem nam się wyda, im więcej uwagi zwrócimy na przeszkody, jakie na każdym kroku zwalczać musi. Brzemię wzgardy społecznej ciąży nad nim dotkliwie. Nietylko ludzie z wyższych sfer towarzyskich nie chcą z nim razem zasiąść przy jednym stole, jeździć tym samym wozem tramwajowym, ale i robotnicy wzdragają się często pracować z nim przy jednej maszynie. Przeważna większość związków zawodowych z zasady nie przyjmuje murzynów na członków i stara się wzbronić im przystępu do posad, wymagających uzdolnienia w zawodzie. Czarni wogóle nie są cierpiani w warsztatach. Wymówka, że murzyni psują płacę, jest krzywdą oczywistą, bo jeśli przez usunięcie z organizacyi i wielu zawodów, zmusza się ich do tańszego sprzedawania siły roboczej, trudno im następnie czynić z tego zarzut, że chcą w ten sposób uniknąć śmierci głodowej.

A przytem — teolodzy rasowi energicznie odmawiają murzynom zdolności do wyższego rozwoju umysłowego. Już w 1834 r. senator John C. Calhoun z Karoliny południowej zdobył się na dowcip: gdybym znał murzyna, rozumiejącego grecką składnię, uwierzyłbym, że są oni istotami godnemi obejścia ludzkiego." A te słowa zostały wypowiedziane w owym czasie, gdy na całem południu Ameryki pod groźbą kar najsurowszych — biczowania i więzienia - wzbronione było nauczanie czarnych, nawet początków czytania. Obecnie mógłby ów zacny filantrop znaleźć tysiące murzynów, którzy wniknęli z powodzeniem nietylko w tajniki składni greckiej, ale nawet w o wiele trudniejsze dziedziny ducha. W r. 1871, w lat niewiele po wyzwoleniu, inspektorowie wysłani z Georgii na uniwersytet Atlanta, jako komisya egzaminacyjna, złożyli sprawozdanie: „Wyniki ścisłych egzaminów z algebry, geometryi, łaciny i greki usuwają wszelką wątpliwość, że dzięki starannemu nauczaniu i wytrwałej pracy, licznym członkom rasy afrykańskiej udało się zdobyć wysoką kulturę umysłową. Rozumieją oni tak samo dobrze najzawilsze zagadnienia matematyczne, jak i najtrudniejsze ustępy klasyków starożytnych." Od tego czasu najwybitniejsze zakłady naukowe, a między nimi niejeden uniwersytet europejski wystawiły swym dyplomem świadectwo dojrzałości umysłowej murzynom. Można wyliczyć cały szereg imion ludzi czarnych, którzy zasłynęli w nauce, sztuce i polityce. A przedewszystkiem cierpienia ogółu obudziły zapał proroczy w duszach jednostek i stworzyły typy, skrojone na miarę tych wszystkich, co chlubę ludzkości przynoszą. I tak Fr. Douglas przez szlachetne umiłowanie nauki, które mu długo przynosiło tylko zniewagi brutalne, wzniósł się z niewolnictwa na stanowisko wysokiego urzędnika państwowego, i wśród niesłychanych zabiegów nad uwolnieniem i podniesieniem swego szczepu błyszczał zdolnością i pełną poświęcenia pracą, jako znawca, organizator i publicysta. Gdy umarł, zgromadzenie prawodawcze Karoliny Północnej na znak żałoby odroczyło swe posiedzenia, choć nie chciało uczcić w ten sposób zasług Waszyngtona, ani Leea. Z współczesnych wymienićby należało na pierwszem miejscu Booker T. Washingtona, którego pamiętnik roztacza przed nami zachwycający obraz nadzwyczajnej osobistości *).

Naturalnie, zwolennicy teoryi ras starają się osłabić znaczenie tych faktów w sobie właściwy, czelny sposób. Obaj wymienieni byli nie murzynami, lecz mulatami. Zazwyczaj zaś widzi ta sekta dziwnego nabożeństwa w mulatach najstraszniejszych zbrodniarzy przeciw naturze i ogłasza za dogmat, że wszelkie krzyżowanie ras pociąga za sobą niechybny upadek sił moralnych, fizycznych i umysłowych. Nie brak zresztą przykładów wybitnej inteligencyi i u czysto rasowych murzynów. Ale to znów są wyjątki, które tylko potwierdzają regułę. Przeznaczeniem ogółu ma być życie w wiecznej ciemnocie. Na poparcie zaś tego twierdzenia przytaczają statystyczne dane o analfabetyzmie wśród murzynów. Gdyby tylko mieli równocześnie odwagę przyznać się, jak w naszem stuleciu humanitarnem wyglądają starania o umożliwienie dzieciom murzyńskim chodzenia do szkoły. Z 2,9 miliona dzieci, będących w wieku szkolnym, w r. 1898—9 tylko 1,5 miliona wciągnięto w spisy szkolne, a 960,011 chodziło do szkoły rzeczywiście. Zaledwie więc trzecia część dzieci dostępuje szczęścia korzystania ze szczupło odmierzonej, bo zaledwie 5 miesięcy na rok trwającej nauki. Brousseau *), która stosunki te naocznie badała, opowiada o braku szkół i nauczycieli, o zawiści białych, którzy do niedawna wszelkie starania murzynów o kulturę umysłową niweczyli jawnym gwałtem, a i teraz jeszcze starają się ją udaremnić intrygami i podstępem. Z drugiej zaś strony szlachetni entuzyaści bez różnicy zabarwienia pracują bratersko na tem polu. Obok wykształcenia jest wykształcenie zawodowe jedną z najbardziej palących potrzeb tej tak długo zaniedbanej rasy. W Hampton, Guskegee i w innych miejscowościach wychowuje się czarna młodzież do życia wśród nowego środowiska społecznego i etycznego, do wiary w błogie skutki pracy Na czele ich zaś kroczy Booker T. Washington, który głosi niestrudzenie o wartości skromnej pracy zawodowej na roli i w warsztacie dla swego szczepu i ostrzega przed uleganiem pokusom życia publicznego.

Ciekawem przeciwstawieniem Stanów Zjednoczonych jest Jamajka, „czarna wyspa," gdzie murzyni nie żyją jak, upadający pod brzemieniem nienawiści rasowej, proletaryusze, lecz jako chłopstwo swobodne. Hoffmann musi zgodzić się na sąd znanego podróżnika Frondego: „niema chyba na świecie drugiego chłopstwa, żyjącego w tak przykładnej zgodzie, tak szczęśliwie i dostatnio." Inny podróżnik, Livingstone, opowiada: „Współcześni murzyni na Jamajce są ludem uczciwym, szczerym i odróżniają się chyba tylko pełną naiwności ignorancyą i zabobonami. W porównaniu z tem, co było na początku okresu, postęp, jaki uczynili, nazwać trzeba wprost cudownym. A ciągły rozwój w przeszłości uprawnia do jak najdalej idących nadziei na przyszłość." Sąd ostateczny Livingstona o murzynie brzmi: „...posiada on w zarodku wszystkie te zdolności, które biały w sobie rozwinął, podobnie jak biały ślady instynktów, które mogłyby go ściągnąć na stopień dzikości." O prawdziwości słów tych ostatnich walka ras w wielkiej republice zaświadczyła całą wiązką pożałowania godnych dowodów.

Asymilacyi duchowej towarzyszy częstokroć fizyczna. Livingstone obszernie opowiada, jak na Jamajce umysłowy rozwój uszlachetnił wyraz twarzy krajowców i zbliżył je do kaukaskich. Skośne linie profilu, odęte wargi i płaskie nosy zanikają, a natomiast występuje wyraźny typ orlonosy. „Rozwija się tu szkocka i angielska forma twarzy i postaci, podobnie jak na Haiti francuska. Bystry spostrzegacz mógłby zapewne osądzić, kogo metodyści a kogo presbiteryanie wychowali, tak wrażliwym i mało odpornym jest ten lud młodociany na wpływy otoczenia. I skóra staje się miększa oraz cieńsza, wśród młodzieży spotyka się często twarze, które, gdyby nie ubarwienie, nazwaćby można pięknemi." To samo zjawisko zauważyć się daje w Ameryce Północnej. Dobrą sposobność nastręcza zbiór fotografij czarnych dziennikarzy. Z pominięciem cery możnaby przypuszczać, że ma się przed sobą czysto „aryjskich" Europejczyków.

Duchowe zbliżenie się jest jedynie pewną drogą do rozwiązania kwestyi murzyńskiej. Widzieliśmy, że jest ona objawem przejściowym, którego przyczyna leży w warunkach historycznych i społecznych. Niezdolność do pojmowania społecznego i przesądy rasowe stoją w jak najściślejszym ze sobą związku. Słusznie powiada Münsterberg *): Plantator nie zaprasza do swojego stołu ani białego, ani czarnego robotnika, a jeżeli południowy biały pyta natychmiast ironicznie każdego, kto chciałby zwalczyć jego przesądy: a dałbyś twoją siostrą murzynowi za żonę? to zapomina, że pytany nie oddałby zapewne swej siostry w małżeństwo i dziewięciu dziesiątym białych." Badania krytyczne wykazują, że na dnie wiary w „rasę znajdują się wszędzie niezrozumiane czynniki społeczne, których wydobycie na jaw leży w interesie spokoju, postępu społecznego i rozwoju etycznego ludzkości.

Dr. Fryderyk Hertz.

Sztuka w szkole.

Pani Iza Zielińska niedawno zdała na tem miejscu sprawę z urządzonej przez Stowarzyszenie prasy pedagogicznej w Paryżu wystawy „Sztuka w szkole," oraz z rozpraw, prowadzonych na zwołanym przy tej okazyi zjeździe pedagogów i estetyków, dbałych o wykształcenie artystyczne młodzieży szkolnej. Między rozmaitymi sposobami szczepienia zamiłowania do sztuk pięknych wspomniała wtedy o ładnych, lecz niestety trudnych do urzeczywistnienia projektach malowania scen z życia dziecinnego wprost na ścianach szkolnych. Może się wydać dziwnem, że to, co w bogatej i tak świetnemi tradycyami artystycznemi szczycącej się Francyi, uważane jest za pium desiderium dalekie od urzeczywistnienia, zostało już wprowadzone w życie w kraju znacznie uboższym i kulturalnie młodszym. Ciekawe o tem wiadomości zawiera właśnie ostatni zeszyt paryskiego czasopisma *Art te Decoration.*

Okazuje się, że w małej Szwecyi kwestya sztuki w szkole z okresu roztrząsań teoretycznych i szlachetnych zamiarów, dawno już przeszła w sferę dzielnych czynów, że to co w niektórych państwach europejskich stanowi dotychczas ideał przyszłości, tam, na północy, stało się już rzeczywistością. Gdy w Niemczech, Francyi, Anglii itd. dążenia do zdobienia szkół z konieczności ograniczają się do dobrych reprodukcyi z wszechświatowego skarbca sztuki lub w najlepszym razie oryginalnych dzieł grafiki współczesnej, niektóre uczelnie szwedzkie posiadają już oryginalne malowidła ścienne wybitnych artystów, są upiększone prawdziwymi okazami wielkiej sztuki monumentalnej.

Jeszcze przed kilkunastu laty w Göteborgu, z polecenia pewnego, bogatego obywatela tego miasta, Karol Larson pokrył całą klatkę schodową gimnazyum żeńskiego cy-

*) Booker T.: „Washington, vom Sklaven empor," przekład z angielskiego). Berlin, 1902.

*) Kate Broussoau: „L'education des nègres aux Etats-Unis." Paris, 1904.

*) Münsterberg: „Die Amerikaner," 1904. Tom I. str. 280.

klem obrazów z życia kobiety, a w Stockholmie panna E. Bonnier zamówiła dla miejskiej szkoły początkowej u N. Krengera dwa panneaux dekoracyjne, u Jerndahla kilka rzeźb terakotowych. Jednocześnie obdarzyła ona dom ludowy w Stockholmie kilkoma pięknemi płótnami, w tym celu kupionemi. Lecz dopiero w roku 1897 pojedyncze w tym kierunku usiłowania połączone zostały w jedną, wspólną organizacyę. Z inicyatywy historyka sztuki, Karola G. Laurin zawiązało się wtedy „Stowarzyszenie dla ozdabiania szkół dziełami sztuki,“ które później przyjęło prostą nazwę „Sztuka w szkole.“

Stowarzyszenie liczy około 200 członków z roczną wkładką 12 koron, ale po za tem czerpie jeszcze pokaźnie z licznych ofiar i wystaw artystycznych, specyalnie na jego korzyść urządzanych. Wogóle artyści szwedzcy, od chwili jego powstania, niejednokrotnie moralnie i materyalnie pomoc mu okazywali. W przeciągu ostatnich lat pięciu „Sztuka w szkole“ obstalowała u K. Larson'a, G. Pauli i B. Liljeforsa dwa duże freski, w cenie 6,000 koron i dwa płótna olejne za 5,000 koron dla dwu liceów łacińskich w Stockholmie, którym w dodatku znany malarz, książe Eugeniusz, syn panującego króla Oskara, dostarczył jeszcze—oczywiście bezpłatnie — dwu krajobrazów dekoracyjnych. Z tego samego źródła szkoła w Norkopping otrzymała dwa obrazy Liljeforsa i Larson'a, ten ostatni znowu, kosztem utworzonego w Göteborgu podobnego związku, wykonał przepyszny, ogromny fryz: „Wiatr letni wieje“ dla auli liceum tamtejszego.

Działalność „Sztuki w szkole“ nie kończy się na nabywaniu wielkich malowideł monumentalnych, z natury rzeczy umieszczanych tylko w dużych salach rekreacyjnych i wykładowych, w aulach lub klatkach schodowych; czyni ona jednocześnie starania o stworzenie z każdej oddzielnej klasy powabnej całości dekoracyjnej, i w tym celu stale wyznacza budowniczym pewne kwoty dla potrzebnych przebudowy.

Że malowidła, o których była mowa, są wartościowe z punktu widzenia czysto estetycznego i doskonale odpowiadają programowi Stowarzyszenia, ręczą nazwiska artystów, którzy zajmują stanowiska pierwszorzędne nietylko w swej ojczyznie, lecz są cenieni i bardzo znani w całej Europie. Nieporównane zwierzęta północne Liljeforsa, wybitnie dekoracyjnej prace Nilsa Krengera, śliczne, stylizowane sceny z życia codziennego Larsona i pełne subtelnego nastroju oraz wdzięku kolorystycznego krajobrazy księcia Eugeniusza można spotkać na najprzedniejszych wystawach paryskich lub monachijskich. Malarze ci pozostali czystymi artystami i w utworach do szkół zastosowanych. Nigdzie nie próbowali nauczać, nie wybierali tematów dydaktycznych, tchnących morałem. Każdy z nich w swoim zakresie czerpał natchnie z przyrody i życia kraju własnego, a razem wziąwszy, stworzyli dzieła istotnie piękne, prostotą i szczerością pociągające zmysły i serca młodych widzów.

Czyż nie godną jest zazdrości ta mała Szwecya, ongi postrach państw sąsiednich dla swej polityki awanturniczej, dziś przyświecająca im przykładem kultury wewnętrznej! Pierwsza w Europie stworzyła dla dzieł swych mistrzów środowisko, gdzie pozostają w ciągłej, codziennej styczności z podrastającemi pokoleniami, zdala od pysznych a zimnych muzeów, słusznie „grobowcami sztuki“ przezwanych.

P. Ettinger.

FEJLETON.

LIBERUM VETO.

II. Człek smutny.

Człek posiada wszystkie właściwości człowieka, tylko w mniejszej mierze; to też bywa także smutny. Rozumie się, odczuwa on głównie troski i nieszczęścia osobiste, ale czasem zaprasza do swego serca na krótki pobyt strapienia ogólne. W tym względzie ma swoją bardzo prostą filozofię, z której wypływają zarówno jego przekonania, jak uczucia. Najważniejszym celem wszystkich wysiłków obywatelskich powinno być według niego utrzymanie w społeczeństwie harmonii. Jak się ułożą i ustosunkują jego żywioły (naturalnie, aby tylko człeka nie skrzywdziły)—o to mniejsza. Przypuśćmy, że zamiast kamiennych karyatyd użyjemy żywych ludzi do podparcia balkonu, na którym siedzi eleganckie towarzystwo; przypuśćmy dalej, że ci ludzie ugięli się pod zbyt wielkim ciężarem i upadli, a na nich runął balkon wraz z gronem rozbawionych osób, które potłukły się i połamały. Wtedy człek oburzy się na pierwszych a wzruszy nad drugiemi. Bo mniema on, że los, czy jakaś potęga, rządząca światem, stawiając człowieka na pewnem stanowisku, musiała mieć ku temu swoje racye i dała mu odpowiednie zdolności oraz siły. Skoro więc ktoś został przeznaczony do podtrzymywania balkonu, widocznie mógł go udźwignąć, a upuściwszy, popełnił karygodną niegodziwość.

Wogólności człek nie lubi przyczyn i zasad, a poszukiwanie ich uważa za jedną z plag naszego czasu, za pokusę prowadzącą na wszystkie bezdroża moralne.

— To oceniam—powiada on—to chwalę lub ganię, nagradzam lub karzę, co widzę, czego się dotykam, co staje przede mną jako fakt, nieulegający żadnej wątpliwości. Łapiąc rzezimieszka na kradzieży—prokurator za jedną rękę a adwokat za drugą wydzierają go sobie. Tamten niezbicie przekonywa, że złodziej uprawia swoje rzemiosło zawodowo, że go wcale do występku nie popchnęła nędza, gdyż znaleziono w jego kieszeni 10 kop.; ten zaś rozkopuje na cmentarzu groby wszystkich wiadomych przodków łotra i każe im świadczyć o jego dziedzicznej nieodpowiedzialności, opowiada najszczegółowiej jego biografię i dowodzi nią, że z najwyższym wstrętem musiał poświęcić się kradzieży, że nie on jest winien, ale całe społeczeństwo, którego nie można wsadzić do kozy, więc przynajmniej należy je zohydzić, napiętnować, zwymyślać. Toż samo dzieje się w innych wypadkach. Dawniej ludzkość jadła z drzew żywota owoce dobre i dozwolone, niszcząc złe i zakazane; dziś rozkopuje te drzewa aż do najgłębszego korzenia i stara się zbadać początek każdej gałązki, każdego pączka, każdej narośli. Wygląda to pozornie na dociekanie naukowe, a w rzeczywistości jest bądź sportem, bądź usprawiedliwianiem wszelkiego łajdactwa. Dziwna rzecz, jak obecne pokolenia nie cierpią więzień, którym przecie zawdzięczają swoje bezpieczeństwo! Człowiek cnotliwy nie zwraca niczyjej uwagi i nie zyskuje uznania. Natomiast niepoń, a zwłaszcza zbrodniarz, staje się bohaterem. Jego obrońcy starają się dowiedzieć, jakich miał rodziców, jak go wychowywali, co jadał i gdzie sypiał, czy się kształcił, czy spędzał lato na wsi itd. A jeżeli wykryją, że tego lub owego nie miał — odrazu w bęben na gwałt! „Jakto — wołają — jemu brakło w izbie dziesięciu centymetrów sześciennych powietrza do oddychania i okien wystawionych na południe, nie nauczył się liczb wielorakich i historyi, nie przebywał ani razu na letniem mieszkaniu — a wy chcecie, ażeby nie kradł i nie zabijał? Doprawdy dzika pretensya!“ Tak krzyczą coraz głośniej i coraz odważniej nowocześni moraliści z pod ciemnej gwiazdy, a właściwie rozbijacze kryminałów i kajdan. Dlatego że znaleźli przyczynę, rozgrzeszają jej skutek. To znaczy: ponieważ wiem, że pies był wściekły, więc go nie zabiję i pozwolę mu, ażeby mnie kąsał. Ale czy przynajmniej tę przyczynę rzeczywiście znajdują? Można wątpić. Przestępcy rekrutują się główn e z najniższych klas społecznych, gdzie każdy z nich przechodzi swoją drogę w zupełnym mroku i sam zapomina o tej, którą już przebył. Tymczasem ich życiorysy są podawane z taką dokładnością, jak gdyby codziennie spisywano ich pamiętnik. „Podsądny — rzekł raz jeden adwokat — spadł w siódmym roku życia z dachu obory na bruk i doznał silnego wstrząśnienia mózgu, po którem zaczął objawiać skłonności nienormalne.“ Czy to nie bezczelne drwiny krętacza? On sprawdził, że syn pastucha wiejskiego spadł przed 20 laty z obory, że uległ wstrząśnieniu mózgu i że od tej chwili zmienił się duchowo! Czy podobne zdarzenia można ściśle stwierdzić nawet w dzieciństwie arcyksięcia? Kto umie łgać śmiało i pomysłowo, ten zawsze wyszuka jakąś przyczynę, a gdy ją ma w ręku, może nią walić po głowie sprawiedliwość dopóty, dopóki ona z bólu nie uniewinni wytłómaczonego złoczyńcy.

Oto jest filozofia moralna człeka. Niech jednakże nikt nie przypuszcza, ażeby go ona znieczulała na niedolę ludzką. Przeciwnie, on się ciągle nad nią łzawi — dowodem jego narzekania w instytucyach filantropijnych i pismach peryodycznych. Drukowane w nich a nadsyłane do redakcyj listy szlachetnych obywateli, składających swe bóle i leki na ołtarzu dobra publicznego, w znacznej części pochodzą od zasmuconego człeka. Wiadomo, jak on przepędza z jednej ulicy na drugą kobiety upadłe, które sam puszcza w obieg i dopóki może, nawiedza. Żąda wyraźnie, ażeby one były i nie były, mieszkały i nie mieszkały, ukazywały się i nie ukazywały — a ponieważ tego nie osiągnął — więc się martwi. I gdyby mu chociaż zapewniono spokój w tem zmartwieniu! A tu byle impertynent zastępuje drogę i mówi: „Nie fabrykuj prostytutek nędzą i uwodzeniem, a nie będziesz ich potrzebował rozganiać i omijać. Ty jesteś sprawcą ich zepsucia i upodlenia, ty jesteś przyczyną...“ Znowu jazda na przeklętej przyczynie! Nie dość wstrętu i cierpienia z widoku ladacznic, jeszcze trzeba wytoczyć ich rodowód. Ta musiała się sprzedać z biedy, tamtą zbałamucił rozpustnik, tamtą wyzyskał chlebodawca... No, tak, wszystko to być może, ale po co się grzebać w tych kałużach? Czy nie lepiej zacząć rozumować i czuć od ostatniego ogniwa w łańcuchu następstw, kiedy taką lub inną drogą, dobrowolnie lub przymusowo, jakaś jejmościanka zjeżdża w błoto? Myślmy o niej w tym ostatnim momencie jej życia.

Człek nigdy długo nie odpoczywa w smutku, bo go spotyka na każdym kroku. Oto jedzie tramwajem, do którego wskakuje chłopiec z *Kuryerem*. Mizerny, widocznie jeszcze nie jadł, odarty, widocznie ma niedbałych rodziców, wrzeszczy ochrypłym głosem, zaczepiając natrętnie jadących.

— A umiesz ty kochanku czytać?—pyta go człek życzliwie.

— Niech pan poprosi konduktora, to panu przeczyta, ja nie mam czasu.

I zeskakuje. Niegrzecznością zasłania swoje nieuctwo, bo naturalnie czytać nie

umie. Czy on więc nie powinien raczej chodzić do szkoły, zamiast sprzedawać dzienniki, których nie rozumie i przyzwyczajać się do łatwych zarobków, które mu nie pozwolą umiłować pracy? Dodać należy, że złe towarzystwo nie uszlachetni go moralnie, a płócienne ubranie podczas zimy nie wpłynie dodatnio na jego zdrowie.

Człek nie może pojąć gustu chłopów do przesiadywania w karczmie. Gdyby ona była czystą, widną salą; gdyby w niej grała przyzwoita muzyka; gdyby jej goście byli ludźmi znośnie wychowanymi — co innego! Ale zwykle jest to brudna i ciemna izba, bez żadnej rozrywki, prócz chrapania śpiących i czkawki pijaków, zaswędzona wyziewami potu i gnoju, zapchana chłopstwem, śród którego porządny gospodarz częstuje się wzajemnie z koniokradem. To ma być zabawa? Upić się do bezprzytomności i zasnąć w przydrożnym rowie — to ma być przyjemność? Nieznajomą dziewuchę wiejską, zajętą przy stożeniu siana, chwyta za nogi kolega panicza z folwarku, bawiący na wakacyach, a ona zamiast mu powiedzieć z godnością: „proszę się nie zapominać, mój panie,“ milczy lub szczerzy zęby— to ma być skromność naszego ludu? Człek ustawicznie zadaje sobie takie pytania, na które on sam nie może odpowiedzieć, a gdy zagadnie człowieka, ten mu natychmiast każe zjeść porcyę „przyczyn,“ usprawiedliwiających te zjawiska i zmienić „zasady“ ustroju społecznego — czyli zrobić to, na co człek nigdy się nie zgodzi. On woli być smutnym do skończenia swego bytu na ziemi, aniżeli przesunąć walec w katarynce dla odegrania innej melodyi. Niech katarynka będzie nastawiona jednako a gra rozmaite melodye — to jest prawdziwa sztuka. Można nawet wątpić o możliwości takiego artyzmu, ale trzeba przyznać, że wiara weń człeka jest wytrwałą. Tysiąc razy on się przekonał, że jeśli człowieka gorączkującego wsadzić w przerębel, to go wcale nie ostudzi, że chcąc usunąć skutek, trzeba znieść przyczynę. Mimo to tysiączny pierwszy raz zawoła on z rzewnym smutkiem: Jak to boleśnie patrzeć, że nasz lud miejski rozpruwa się nożami, zamiast uczęszczać do publicznej biblioteki, gdzie ciepło, wygodnie i książki darmo!

Poseł Prawdy.

BADANIA NAUKOWE.

Gustaw Ratzenhofer:

ZAGADNIENIA SOCYOLOGII.*)

Odczyt wygłoszony w Saint Louis.

(Dokończenie).

Badanie rozwoju społecznego ujawnia cały szereg zagadnień, z których najważniejsze, piąte dotyczy *stosunku między subjektywizmem* (indywidualizmem) *a socyalizmem* (komunizmem). Uczłowieczenie jest bezsprzecznie dziełem indywidualizacyi, która jednostkę wyrwała ze stanu trzody komunistycznej. *Osobistość* ludzka jest szlachetnym kwieciem tego dążenia, przesada zaś jego czyni jednostkę w mniemaniu własnem punktem środkowym świata. Czy rozwój społeczny przyniesie niczem nieograniczoną indywidualizacyę, czy też przetnie jej drogę uspołecznieniem w interesie dobra ogólnego, i jak też ludzie zdołają *indywidualizacyę i socyalizacyę, czyli dobro jednostki i dobro ogółu, pogodzić z sobą?* I bez wielkiego zagłębiania się w stosunki ludzkie, poznać można, że zagadnienie to stoi w ścisłym związku przyczynowym z *politycznym ustrojem społeczeństwa, ogólnym rozwojem prawnym i etyką pozytywną*, czyli normami moralnymi, tkwiącymi w wrodzonych człowiekowi interesach samozachowawczych.

Ale jeśli rozpatrywać będziemy właściwości człowiekowi wrodzone, otworzy się przed nami szóste, wielkie *zagadnienie rasowe*, które się rozpada na następujące pytania: Czy możemy mówić o *jedności pochodzenia człowieka!* Jakie skutki społeczne i etyczne zależne są od odpowiedzi na to pytanie?

Jaką wartość ma *zagadnienie rasowe* dla rozwoju społecznego wogólności, jaką pod względem miejscowym i czasowym?

Jak *oceniać* należy *rasy czyste*, jak *formy trwałe* ras mieszanych, jak zaś rasy mieszane o cechach *chwiejnych!*

Co wynika dla rozwoju społecznego z faktu istnienia różnic rasowych i różnorodności właściwości dziedzicznych, jako wytworu rozwoju biologicznego, historyi, miejsca pobytu, otoczenia i idej panujących?

Napróżno kuszą się niektórzy zagadnienie rasowe, o które toczy się teraz w Europie bój tak ożywiony, rozwiązać z jednostronnego stanowiska etnologii lub antropologii, geografii, biologii; ponieważ rasa nie jest dziełem ani tylko biologicznego rozwoju, ani tylko geograficznych warunków lub cech antropologicznych, jej społeczne przeto znaczenie pojąć można tylko na podstawie wszystkich tych czynników, z których socyologia czerpie swoją syntezę. Dla politycznych zadań państwa zagadnienie rasowe ma ogromnie doniosłe zadanie. Socyologia zupełne zlanie się ścierających się z sobą ras uważać może co najwyżej za ideał. Samo porównanie długości okresu powstawania rasy, trwającego lat chyba krocie, z krótkością czasu, jaki liczyć zwykliśmy przy reformach społecznych, może doprowadzić do absurdum wiarę w błogie zharmonizowanie właściwości rasowych tą drogą.

Do zagadnienia rasowego przyłącza się zagadnienie hygieny ludowej. Zwalczanie chorób dziedzicznych i skłonności chorobliwych, syfilisu, gonorrhoë, epilepsyi, alkoholizmu, neurastenii itp., jest jedną znajbardziej palących kwestyi Europy współczesnej, która rozwój rasowy rozpatruje więcej ze stanowiska gospodarczego i etycznego, niż morfologicznego i fizyologicznego. Nie można zamykać dłużej oczu przed poznaniem, że skłonności chorobliwe są główną przyczyną nędzy masowej. Prawno-filozoficzne pojmowanie stosunku skłonności ludzkich do norm moralnych i społecznych wymaga *gruntownej rewizyi*. Poznanie, że działanie ludzkie jest tylko wynikiem mniej lub więcej zdrowych skłonności człowieka, staje w sprzeczności z istniejącem prawem karnem, podczas gdy z drugiej strony wzrost ludności, przepełnienie pomieszkań, wzmagająca się zawiłość wszystkich stosunków prawnych czynią silną opiekę społeczeństwa przed wybrykami społecznie chorych coraz to naglejszą potrzebą.

A tuż obok ujawnia się nowe zagadnienie: w jakim stosunku *polityczne zasady wolności i przymusu, polityczne systematy centralizacyi i autonomii* mają znaleźć urzeczywistnienie. To, co pod tym względem dotychczas zbadano ma co najwyżej wartość plotek politycznych. Powątpiewanie o wartości zasad politycznych XVIII i XIX w. coraz więcej wydaje się usprawiedliwione. Jeśli większość ludzi ma żyć w zadawalających stosunkach, to rozwój społeczny prześć będzie coraz bardziej ku *porządkowi zorganizowanemu*. Nie ulega wątpliwości, że obecna wolność indywidualizująca zapewnia tylko drobnej mniejszości potęgę, nie dając jej nawet przytem zadowolenia. To zagadnienie zajmuje się więc i *kapitalizmem* i *prawem pracy* *).

W najściślejszym związku z kwestyą rasową stoi *zagadnienie pokoju i wojny*. Coraz wyraźniej występuje krótkowzroczność tych entuzyastów, którzy uważają wieczny pokój za możebny, bo widzą w wojnie tylko kapryśne zachcianki mocarzy tego świata, podczas gdy one są w rzeczy samej skutkami rozwoju społecznego, tj. sprzeczności między wzrostem ludności a warunkami życiowymi i przeciwieństw rasowych. Bliższe zapoznanie się z istotą polityki wskazuje, że nie przedwczesne potępianie wojny, lecz usunięcie jej przyczyn, może zajmowanie się tą kwestyą uczynić pożytecznem dla społeczeństwa.

Lecz rozwiązanie tych dwóch ostatnich zagadnień stanie się dopiero wtedy możliwem, jeśli *polityka* z obecnej dziedziny dyplomatyzmu, dyplomatycznych intryg i osobistych interesów w całości podniesioną zostanie na podstawie poznania socyologicznego do znaczenia dyscypliny naukowej. Nie uchodzi dłużej, by nie istniała dla nauki najważniejsza działalność ludzka, istotne źródło całego zła i dobra społecznego. Nauka polityki, jako dynamiki sił społecznych, pośredniczy w urzeczywistnieniu praktycznej wartości socyologii. Tylko przez politykę, znającą główne rysy rozwoju społecznego i potrzeby społeczne, dojść można do *cywilizacyi* czyli *stanu panowania dobra ogólnego*.

Najbliższe znaczeniem zagadnieniom biologicznym i politycznym jest *zagadnienie etyki pozytywnej*, które się streszcza w pytaniu: *o ile pomyślny rozwój ras, narodu, państw i społeczeństw zależnym jest od ich moralności?* Wiemy, że obecne pojmowanie antropologiczne rozwoju społecznego nie przypisuje moralności żadnego wpływu na losy ludów, bo brak poznania socyologicznego zakrywa fakt, że „zło“ i „dobro“ stoi w jak najściślejszym związku z rozwojem pomyślnym.

Odpowiedź na to pytanie prowadzi do dalszego, głównego zagadnienia moralnego wychowania ludzi, do kwestyi szkoły, rodziny, wzajemnego stanowiska płciowego do siebie i wobec społeczeństwa. Napomknę tu tylko, że współczesne pojmowanie praw kobiecych, w socyologicznie myślącym wieku uważanem będzie za błąd trudny do zrozumienia.

I z lekka tylko chcę potrącić o to, że zagadnienia te z konieczności prowadzą do głównego *zagadnienia religijnego*, badania filozoficznej prawdy potrzeb religijnych, etycznej i idealnej wartości religii wogólności, wyznania w szczególności. A na końcu tego szeregu głównych zagadnień staje *zagadnienie państwowe*, rozpatrujące polityczny podział ludności i miejsc jej zamieszkania. Razem z tem zagadnieniem znajdzie już swą odpowiedź i kwestya o *socyologicznem pojmowaniu państwa*, w której myśl praktyczne urzeczywistnienie wszystkich naukowych syntez socyologii przeprowadzone będzie przez państwo, jako organizacyę, posiadającą władzę. Do tych syntez należy także i nauka o stosunku państwa i jego mieszkańców do społeczeństwa i ludzi, którzy z jego pomocą stają w obronie wyłaniających się interesów.

Gdy na tem kończę wyliczenie zagadnień socyologicznych, sądziłby można, że to tak zwane przez ogół społeczne zagadnienie, które właściwie obudziło zainteresowanie się socyologią wśród współczesnych, wcale jeszcze nie zostało wymienione. I w samej rzeczy kwestya socyalna czyli robotnicza, *kwestya zadowolenia mas pozbawionych własności i wpływu*, zwana fałszywie socyalistyczną, nie wydaje mi się specyalnem zagadnieniem socyologii, bo nie może być rozwiązana z osobna, jak myślą socyaliści, socyal-demokraci i socyal-

*) Nie prawem do pracy, które socyologia odrzuca.

politycy. Ale rozwiązanie wszystkich innych kwestyi da równocześnie odpowiedź i na nią. Rzeczywiste dobro pewnej klasy społecznej tkwić może tylko w dobru ogólnem, a jednostronna walka klasowa stoi w najoczywistszem sprzeciwieństwie z socyologicznym sposobem myślenia.

Widzimy, że socyologia stawia *zasady* dla wszystkich spraw społecznych; zadaniem jej jest zasadnicze rozwiązanie wszystkich zagadnień społecznych, a zdoła to uczynić, bo ujmuje je w związku wewnętrznego istnienia. Kładzie tamy rozwarcholonej hypertrofii specyalizacyi i ciasnocie kronikarstwa zawodowego. Stara się wspaniałe wyniki poszczególnych dziedzin wiedzy oddać w służbę ogółu. Zagadnienia socyologii są zagadnieniami cywilizacyi.

Wymienione zagadnienia zasadnicze, światowe i główne określają istotną treść socyologii, jako wiedzy. Mnożą się one w miarę, jak nauki pomocnicze pobudzają socyologów do zwrócenia się ku nowym. Jeśli świat jest rzeczywiście dziełem wewnętrznej prawidłowości, to i rozwój społeczny nie może się obyć bez nauki, która, panując nad wszelką wiedzą specyalną, zdobywa uznanie tej prawidłowości. Podobnie jak nauki przyrodnicze utorowały sobie drogę w walce z przesądami średnich wieków, tak socyologia i jej filozoficzna podstawa, monizm pozytywny, muszą sobie torować drogę po przez przesądy fałszywej naukowości i zacofania.

LITERATURA I SZTUKA.

PRZEGLĄD TEATRALNY.

Stanisław Kozłowski: *Pod okrętem*, komedya obyczajowa w 4 aktach. — Al. hr. Fredro (ojciec): *Cudzoziemczyzna*, komedya w 3 aktach. — Henryk Ibsen: *Upiory*, dramat w 3 aktach. — Gerhart Hauptmann: *Święto pokoju*, katastrofa rodzinna w 3 aktach.

Przez całe prawie lato i część jesieni nie ukazała się na scenie warszawskiej ani jedna nowość poważniejsza, ale za to — występował Kamiński. Jego świetna gra ściągała wielokrotnie tłumy widzów na ramoty, które bez niej upadłyby po dwóch lub trzech przedstawieniach. Tem bardziej żałować trzeba, że nie dane nam było zobaczyć złotodajnego gościa ze Lwowa w paru chociaż sztukach i rolach, godnych naprawdę jego wielkiego talentu.

Pewne ożywienie w repertuarze dramatu i komedyi nastąpiło dopiero po ich przeniesieniu na zimowe leże do teatru Rozmaitości. Dano tu na początek oryginalną komedyę obyczajową p. St. Kozłowskiego; wznowiono potem niegraną od wieków „Cudzoziemczyznę“ Fredry; wystawiono wreszcie wstrząsające „Upiory“ Ibsena. Zgodnie z nazwą teatru, na jednolitość narzekać nie sposób...

Nowa sztuka p. Kozłowskiego nie mogła zadowolić widzów wybredniejszych: sytuacyom jej brak prawdopodobieństwa, postaciom krwi w żyłach, całości — żywszego nerwu dramatycznego. Rodzaj to ten sam, który z pewnem powodzeniem wypróbował już autor w „Dyanie“, którego nadużył w „Reducie“, a który doszczętnie już chyba zużył się teraz w „Pod okrętem.“ Szereg luźno związanych, czasem sfastrygowanych zaledwie obrazów z życia Warszawy w pierwszych dziesiątkach lat ubiegłego wieku. W poprzednich dwóch sztukach autor usiłował namalować płoche zabawy i czcze intrygi salonów arystokratycznych, zgromadzenia i rozprawy uczonych, świty nowych prądów w poezyi. Po księciu Józefie i Zajączku, po bohaterach napoleońskich, po Staszicu i Niemcewiczu, Osińskim i Brodzińskim — przyszła kolej na warstwę mieszczańską. Ze stosunków, które wśród niej panowały przed laty, p. Kozłowski próbował wysnuć swą sztukę najnowszą, przesunął więc przed oczyma widzów izby cechowe i winiarnie, wywoływał cienie Fukierów i Steinkellerów, dawnych referendarzy i ojców gospody, wierszorobów i kiprów niezrównanych, ale w tem wszystkiem, zamiast życia, dał tylko jego nikłą, niekiedy naiwną bardzo trawestacyę. Łatwiej przytaczać kuplety z „Chłopa milionowego“ lub przypominać nizkie ceny targowe minionej doby, niż treść jej istotną na jaw wydobyć. A tymczasem w „Pod okretem“ dobę dawno przebrzmiałą, po za kostyumami i stroną czysto dekoracyjną, w której p. Kozłowski celuje, przypomina chyba wiersz poprawny, a zimny i suchy, jakby żywcem wzięty z jakiej tragedyi pseudoklasycznej. Więc też trudno się zgodzić ze zdaniem któregoś Dalaj Lamy naszej krytyki, że nowy utwór autora „Esterki“ i „Taborytów“ nadawałby się do teatru ludowego. Idzie, naturalnie, o jakieś względy pedagogiczno-moralizatorskie, bo tak zwany lud jest zawsze w oczach kuryerkowych krytyków zbiorowiskiem dużych dzieci, gromadą „maluczkich“, którym „my“, literaci i dziennikarze warszawscy, nieść mamy pochodnie światła. Bez tych kaganków kopcących obejdzie on się jednak doskonale. Kto go przez scenę chce podnieść estetycznie, niech mu da dzieła sztuki prawdziwej, niech mu pozwoli zachwycać się Szekspearem, Schillerem i Słowackim, Molièrem i Fredrą, niech go zapozna chociażby z lepszymi utworami takich autorów, jak Korzeniowski; na „Pod okrętem“ p. Kozłowskiego „maluczcy“ mogą jeszcze poczekać... Ujrzeliby tam wprawdzie dziw nad dziwy: takiego niezwykłego Nałęcza, który dla pięknej a niezdecydowanej bednarzówny nauczył się rzemiosła jej ojca i wyzwolił na czeladnika w tym kunszcie; ale—wszak w baśniach ludowych królewicze nawet zniżają się czasem do kopciuszków, a jasełkowe figurki spełniają — nie gorzej od bohaterów „Pod okrętam“ — wolę tych, którzy niemi przed publicznością kręcą.

Wymieniliśmy przed chwilą Fredrę. Zaczyna on znów częściej trochę ukazywać się na scenie, dotąd zresztą w Rozmaitościach tylko. Obok wznowionych dawniej „Odludków i poety,“ wystawiono tam świeżo jego przestarzałą już może, ale wciąż jeszcze aktualną i żywą „Cudzoziemczyznę.“ Niema już dzisiaj, a zapewne nie było nigdy, takich Radostów, którzy parobkom obcinają poły kożuchów i każą im marznąć bez butów na mrozie, aby tylko przypominali Francuzów; ale wielojęzyczność płytka i podnoszenie pod niebiosa wszystkiego, co obce, kwitnie w dalszym ciągu w najlepsze, a stara bajka o żórawiu i orle i dziś do nas stosować się może, kto wie nawet, czy nie w większym stopniu, niż za czasów starego Fredry. Sztukę jego zresztą warto zobaczyć, choćby dla gry większości wykonawców. Doskonały jest zwłaszcza w roli Radosta Frenkiel (który i w postać Fukiera tchnąć potrafił życia niemało), a pan Siemaszko stworzył tym razem przepyszną, chwilami wzruszającą prawdziwie postać starego sługi Jakóba. Panie Lüdowa i Tekla Trapszo, panowie Śliwicki, Wolski, Wilczyński, Krogulski Bednarczyk i Fertner uzupełniają obsadę. Dwóm ostatnim należy się jeszcze słówko pochwały za role (Steinkellera i Trznadla) w „Pod okrętem.“

Z „Cudzoziemczyzną“ łączone bywają niekiedy „Damy i huzary.“ Obie te sztuki stoją na granicy między komedyą a krotochwilą w szlachetnym stylu o zakroju satyrycznym, którą, niestety, wyparły dziś prawie z teatru płaskie, pornograficzne farsidła. Szkoda tylko, że niektóre role kobiece w „Damach i huzarach“ odtwarzane bywają stale z przesadą karykaturalną, która zdobywa może łatwe wybuchy bezmyślnego śmiechu, ale nie licuje już dzisiaj z powagą imienia Fredry.

Od słonecznego optymizmu autora „Ślubów panieńskich“ i „Zemsty“ niełatwe przejście do ponurych, przygnębiających obrazów, roztoczonych w „Upiorach“ Ibsena, oraz w „Święcie pokoju“ Hauptmanna. Pierwszą z tych sztuk wystawiono świeżo w Rozmaitościach, drugą w teatrze Towarzystwa Artystycznego, zorganizowanym obecnie z dawnych „miłośników sceny,“ pod kierunkiem literackim p. T. Jaroszyńskiego i reżyseryą Bolesława Ladnowskiego. Oba dramaty, połączone węzłem pokrewieństwa ideowego, znane nam były nie od dzisiaj; jeden z nich mieliśmy odławna w przekładzie polskim i już przed lat dziesiątkiem rozprawialiśmy z zapałem o poruszonej w nim kwestyi dziedziczności, współczując żywo wszystkim Alwingom, dźwigającym na swych barkach straszną puściznę chorób i złych skłonności i ginącym w nierównej walce z tą potężną Ananke czasów obecnych.

„Upiory“ Ibsena nie zestarzały się dotąd i nieprędko stracą znaczenie. W występujących w nich postaciach tkwi niemal eschylesowski tragizm. Imponuje przytem w tym dramacie, jak zresztą we wszystkiem, co wyszło z pod pióra wielkiego Skandynawczyka, szczerość bezwzględna w ujawnianiu fałszów współczesności i jej jątrzących się ran. Poeta orlimi szponami zdaje się zdzierać konwencyonalne zasłony, za któremi najczęściej ukrywa się wstydliwie przed światom brud i zgnilizna, a niekiedy z serca zbolałego sączy się wązka, koralowa nitka krwi. Nie cofa się, jak zawsze, przed niczem, a za główny cel tytanicznych pocisków wziął sobie znów rodzinę, tę szanowaną rodzinę mieszczańską, palladyum cnót, nadzieję i ostoję przyszłości. Wytworem jej, stoczonym przez robactwo owocem potwornego związku bez miłości między zwyrodniałym rozpustnikiem a męczennicą najfałszywiej pojętego obowiązku, jest właśnie ów Oswald Alwing, na którego udręczenia przedśmiertne patrzymy w trzech aktach „Upiorów.“ Drugą ofiarą stosunków, w których obronie staje z całem zaślepieniem dobroduszny pastor Manders, jest matka Oswalda, Helena, a obok nich uwijają się Engstrand i Regina, drobne, lecz żarłoczne szczupaki, umiejące w mętach teraźniejszości nawet ludzką krew i łzy zmienić w pożądaną karm dla swych wiecznie głodnych żołądków.

I sztuce, i jej wykonawcom możnaby robić zarzuty. W akcie trzecim np. razić może zbyt długa rozmowa matki z synem, na którego obliczu śmierć już położyła dłoń swoją. P. Żelazowski w wybornie skądinąd opracowanej roli Oswalda od pierwszej chwili jest, zdaniem mojem, zbyt grobowy; od pierwszego ukazania się na scenie widzimy w nim skazańca, choroba jego rzuca się w oczy odrazu, bez dostatecznego ustopniowania. Są to jednak wogóle drobiazgi, nie obniżające potężnego wrażenia, jakie „Upiory“ wywierają w teatrze. Obok p. Żelazowskiego mają w nich świetne momenty pp. Barszczewska, Rapacki i Szobert (doskonały również jako Łukasz w „Pod okrętem“). Tylko p. Leszczyńska w roli pospolitej a przewrotnej Reginy wydawała mi się — niewyraźną.

Atmosfera przygnębiająca panuje i w „Święcie pokoju.“ Tytuł jest gorzką ironią, a sarkazmem (podobnie jak w pokrewnem treścią, a wystawionem w tym samym teatrze „Prawie Mimicry“ Nowaczyńskiego, które jednak znam tylko z czytania) wydaje się owa choinka, przyświecająca w dzień

wigilijny wzajemnemu szarpaniu się i gryzieniu członków jednej rodziny. Są to znowu owoce obydnego związku bez miłości. Rodziców nie łączy w nim nic, dzieli raczej nienawiść wzajemna, a dzieci wyrastają, jak chore rośliny na gruncie kamienistym, z charakterami spaczonymi, nieszczęśliwe ofiary stosunków, domagających się przekształcenia zupełnego. Jedną po drugiej przesuwa autor przed oczyma przygnębiające i nużące w końcu sceny domowych walk i kłótni, w których istota ludzka zatraca chwilami wszystkie niemal cechy człowieczeństwa. Patrzymy z zajęciem na szereg zarysowanych znakomicie charakterów, a po zapuszczeniu kurtyny nie pozostajemy długo z uczuciem beznadziejności zupełnej, bo otuchę pewną budzi w nas gorąca i serdeczna miłość Wilhelma i Idy, którym może uda się stworzyć ognisko lepszego życia.

Niełatwe zadanie wzięła na swe barki drużyna Towarzystwa Artystycznego, ale naogół wywiązała się z niego zadawalająco, pozwalając rokować dobrze o swej przyszłości. Na pierwszem przedstawieniu raziło jeszcze niezupełne opanowanie pamięciowe niektórych ról kobiecych, co zapewne w przyszłości da się łatwo usunąć. Mężczyźni wszyscy (pp. Kotowski, Norski, Łącki i Gorczyński) grali bez zarzutu, wznosząc się w niektórych scenach do wyżyn poważnego artyzmu. Szczere uczucie i naturalność podnieść już dzisiaj można w grze p. Tuszkówny w roli Idy, broniącej miłością swoją Wilhelma (p. Łącki) od ostatecznej rozpaczy.

Wł. Bukowiński.

Karol Brzozowski.

(WSPOMNIENIE POZGONNE).

W dziejach piśmiennictwa zdarzają się epoki, kiedy nagle nagromadzone siły wybuchają i powstaje wielka era — geniuszów. Oni skupiają w sobie całą treść duchową współczesnych im ludzi, ich słowo potęguje uczucie wspólne całemu pokoleniu; oni pierwsi świadomość mają tej głębi duchowej, o której ludzie niższego polotu nie wiedzą i tylko po upływie całych dziesiątków lat wiadomość zdobywają. To, co w ich ustach jest groźne, olbrzymie, wulkaniczne, to stanowi atmosferę uczuciową, sięgającą daleko w przyszłość. Taką epoką w dziejach naszych był romantyzm. Piękny okres! Po za stałą niewzruszonością masy, jako takiej, przebiegały przez nią wstrząśnienia nakształt drgań elektrycznych; świadomości masa nie miała, lecz nie mniej czuła nowe siły, czuła mistykę mocy dotąd jej nieznanych, czuła w sobie głos, który zwała głosem bożym i zdolna była do czynu. Później, „chłodni" ludzie, wytykając komuś jego niezaradność i niezgodność z wymaganiami życia powszedniego, zwykli byli mówić: to romantyk, łącząc to pojęcie z niezdolnością do czynu i brakiem tak zwanej trzeźwości ducha. Romantyzm pchał do czynu, kazał łamać przeszkody, kazał myślą i sercem obejmować dalekie przestrzenie. Tylko my nie znamy dziejów tego wspaniałego okresu, choć należy on do wybranych w historyi literatury polskiej.

Po wielkim przełomie myśl poczęła szukać ratunku w patrzeniu w ziemię, poczęła zwalczać poetyzowanie i głosić wiarę w doświadczenie. Po za nowem pokoleniem istnieli i epigoni dawnego kierunku, lubujący się w nazwie „ostatnich romantyków." Ci pielęgnowali dawną formę, nie mając dawnej siły ducha, wyobraźni, dawnej mocy sięgającej w treść bytu. Byli to raczej maruderzy romantyzmu, i to tego, który wypowiadał się i za życia wielkich twórców w utworach poetów drugorzędnych. I wśród nich była różnica siły — był Sowiński, był i Odyniec.

Do tych epigonów należał i świeżo zmarły Karol Brzozowski. Uosabiał on w sobie rycerski rozmach tamtych czasów; poezyą jego był hałas rycerski i rycerska niezłożoność ducha. Tarcza jego nie miała znaków pęknięcia, nie znał on, co jest gorycz zwątpienia i szyderstwo niemocy. Odróżnia się tem od pokolenia, wśród którego pisał swe rzeczy. Był to czas, kiedy poeci czerpali natchnienie z Musseta i Heinego, kiedy ironia była ostatnią ostoją pokolenia wątpiącego.

Życie jego, to też ciekawy szmat istnienia naszego ogółu. Urodził się w Warszawie. Losy rzuciły go w wir wypadków. Brał udział w ruchu 48 roku, później włóczył się trochę na Zachodzie, wreszcie udał się na Wschód. Przepędził tam prawie całe życie, doświadczając przeróżnych przygód, polował, budował koleje, uprawiał tytoń, był także dyplomatą itd. Na starość osiadł we Lwowie. Literatura nie była jego fachem. Pisał niewiele, wydawał w wieku późniejszym. Oprócz drobnych wierszy lirycznych napisał cały szereg powieści („Ognisty lew," „Z życia czerkiesów," „Sen w Bałkanach," „Noc strzelców w Anatolii" i „Deli Petka"). We Lwowie począł Brzozowski pisać utwory dramatyczne. Największą popularność zdobyła sobie tragedya z życia Tatarów p. t. „Malek"; była ona wystawiana na scenach galicyjskich i poznańskich. Następne dramaty („Oblężenie Lwowa," „Eryk XIV") miały już mniejsze powodzenie z powodu braku cech istotnie dramatycznych. Są to raczej dyalogi o charakterze powieściowym. Podróże jego dostarczyły mu obfitego materyału etnograficzno-geograficznego, który zużytkował w specyalnych artykułach.

Utwory Brzozowskiego mało się dziś czytają. Są to odgłosy dawnych czasów. Umiłowanie Wschodu nadaje im specyalny wyraz: koloryt gorący, język na wzór „Pieśni nad pieśniami." Przemawia on grzmiąco, prosto. W poezyi jego sporo ognia, temperamentu, głośnych okrzyków, wzniosłych wyrażeń. Jest to odległe echo epoki zamarłej. Wiersz z tamtych czasów, całość szczera i podniosła, uderzająca zapałem i wiarą. Sporo tu burz, lecz sporo i jasnych przebłysków. Przeszłość już zamiera, lecz romantyzm jako nieśmiertelna siła narodu wciąż żyje; przyjął on nową formę; wypowiada się innemi słowy, lecz zapał do czynu, wiara w piękno i owe mistyczne zapatrzenia się w głębie bytu — istnieją i istnieć będą.

B. B.

NOWE KSIĄŻKI.

— Dr. Jan Vaihinger: **Filozofia Nietzschego**, przełożył dr. Kazimierz Twardowski.

Ogół szerszy, zwłaszcza u nas, znał dotąd filozofię Nietzschego wyłącznie prawie z mętnego jej odbicia w utworach beletrystycznych lub jeszcze mętniejszego — w dorywczych artykułach krytycznych. Czy studyum dr. Vaihingera da o niej dokładniejsze pojęcie? Nie wątpi o tem sam autor, jak nie wątpi, że „odczyt jego potrafi powiedzieć o Nietzschem coś nowego." W istocie jednak „nowego" książka niewiele przynosi. Autor, zgodnie ze swem założeniem, pozostawia w cieniu Nietzschego — mocarza słowa i poetę a charakteryzuje wyłącznie Nietzschego-myśliciela. Z iście doktorską pedanteryą wykrywa w „tkaninie osobliwej tego dziwnego umysłu" siedm nici, siedm „tendencyj zasadniczych": „antimoralistyczną, antisocyalistyczną, antidemokratyczną, antifeministyczną, antiintelektualistyczną" itd., aby następnie dowieść, że wyrastają one ze wspólnego podłoża myślowego. Tem podłożem, jądrem i podstawową zasadą filozofii Nietzschego jest, według dr. Vaihingera, „schopenhauerowska nauka o woli, zwrócona w kierunku pozytywnym pod wpływem darwinizmu"; znaczyć to ma innemi słowy, iż Nietzsche, przejąwszy od Schopenhauera jego pogląd na świat, jako na wolę i wyobrażenie, i uzupełniwszy ten pogląd teoryą walki o byt i doskonalenia się gatunku, w wyniku ostatecznym otrzymał „naukę o woli zaopatrzoną znakiem plusowym," naukę nie pesymistyczną, lecz przeciwnie— „głoszącą tryumf życia"— optymistyczną.

Ta strona w filozofii Nietzschego, streszczająca się w haśle „memento vivere," znalazła w studyum dr. Vaihingera oświetlenie najpełniejsze i najlepsze.

Książeczka zaleca się wykładem jasnym i zrozumiałym. Przekład naogół, mimo kilku rażących błędów, dobry.

— Jan Augustynowicz: **W pryzmacie**. Warszawa. G. Centnerszwer i S-ka.

Autor usiłuje kaskadami słów jędrnych a mocnych, „jeżących włosy," ale układających się rzadko w wyraźne obrazy, odwrócić uwagę od zadziwiającego już dziś w młodym pisarzu ubóstwa myśli i płytkości w ujęciu nawet tych pospolitych zjawisk życiowych, które obserwuje przez swój pryzmat. Najlepsza w tym zbiorku stosunkowo jest ostatnia nowela. Napisana z względną prostotą i sentymentem, mimo brutalnych szczegółów, „Historya o grajku" wywołuje pewne wrażenie. Książka odpowiada wymaganiom estetycznym — dzięki wydawcy jedynie.

— Stanisław Nałęcz Ostrowski: **Przed burzą**. Powieść historyczna z XV wieku.

P. Ostrowski to rycerz z pod sienkiewiczowskiego znaku, jeden z tych, których imię — legion. Za przewodem *mistrza* śpiewa i on hymn uwielbienia na cześć „wielkiej, świętej przeszłości," śpiewa „chwałę niewiędnącą na wieczność" i „zasługę wobec Boga tak wielką, że równej nie miał po za sobą żaden naród." Po za tem wyróżnia się z pośród tłumu naśladowców tem, że jest mniej od nich oryginalny, a chwilami zgoła naiwny, zwłaszcza gdy wypisuje długie dyalogi, jakie *rozum, serce, przeczucia* wiodą w duszach jego bohaterów. Miejmy nadzieję, że autor wyrośnie z tych wad i wśród nazbyt już licznych dostawców makulatury historycznej poczesne zajmie miejsce.

— **Listy które go nie doszły**. Przekład J. Milczyńskiej.

O powodzeniu tych listów w Niemczech stanowił, jak przypuszczać należy, wyłącznie ów rzewny, chwilami elegijny, chwilami tylko ckliwy, liryzm, którym są przepojone. Bo chociaż jest tu mowa o krajach i ludziach ciekawych (Chiny, Japonia), ale wszystko to ustępuje na plan drugi, jest tylko blado podmalowanem tłem, na którem ukazuje się wyraźnie wrażliwa dusza bezimiennej autorki, wraz z cichem uczuciem, jakie się w niej budzi dla oddalonego przyjaciela. Przyjaciel ów zginął w Pekinie w czasie pamiętnych rzezi, a listy, które go nie doszły, wydane przez brata autorki, utworzyły spory tomik. Czyta się go z pewnem zajęciem i zdumieniem, że nie przeznaczony przecież pierwotnie do druku, jest taki nawskróś „literacki" — w ujemnem tego słowa znaczeniu. Signum temporis.

Br. W.

NA MARGINESIE.

Naokoło świata. W r. 1873 Juliusz Verne zelektryzował wszystkich swoją podróżą „Naokoło świata w ciągu 80 dni," którą, jak wiadomo, wówczas urzeczywistnić mógł

tylko jego wymyślony bohater, Fileas Fogg. Tymczasem w r. 1903 James Willis Sayre, Amerykanin, okrążył świat w przeciągu 54 dni i 9 godzin. Prócz tego rosyjskie ministeryum komunikacyj ogłosiło świeżo następne dane, które będą urzeczywistnione po ukończeniu kolei przez Syberyę: z Petersburga do Władywostoku — 9 dni; z Władywostoku do Nowego Yorku — $14\frac{1}{2}$ dnia; z Nowego Yorku do Bremy — 7 dni; z Bremy do Petersburga $11\frac{1}{2}$ dnia, razem — 33 dni. — Co się tyczy niebezpieczeństw, dr. Brown opowiada, że przed udaniem się w podróż opłacił 250 fr. asekuracyi, za które w razie wypadku miał otrzymywać tygodniowo 250 fr., jako wynagrodzenie za rany, czyniące go niezdolnym do pracy; w razie śmierci rodzinie jego miano wypłacić 50,000 fr. Podróżował w ciągu 15 miesięcy, jeżdżąc koleją, końmi, na słoniach, na statkach wszelkiego rodzaju, na wózkach, ciągnionych przez ludzi; był w Bangkog podczas cholery, w Pendjab podczas dżumy, przebywał góry, rojące się od rozbójników, jungle zamieszkane przez tygrysy i węże jadowite, i nigdzie nic mu się nie stało. Można więc już dziś podróżować bez narażenia życia. Atlantyk przebywamy obecnie w ciągu 5 dni, Ocean Spokojny w 11, a wkrótce droga z Paryża, czy Warszawy do Pekinu lub Kalkuty będzie zabierać mniej czasu, niż dawniej z Berlina do Warszawy.

Fizyotypią nazwał swój wynalazek Francis Sheridan z Londynu. Jest to nowy sposób reprodukcyi bez farby, bardzo prosty, gdyż polega tylko na umieszczeniu przedmiotu, który chcemy odbić, na papierze odpowiedniej wielkości i przyciśnięciu go ręką lub za pomocą prasy do kopiowania. Odbicie, w ten sposób zrobione na papierze, jest niewidoczne, a ujawnić je można, wkładając papier do pudełka, zawierającego pewien proszek, którego skład znany jest tylko wynalazcy. Posypawszy papier proszkiem, po krótkiej chwili strzepuje się go i następnie wkłada, również na parę sekund, między arkusze bibuły nasiąkniętej roztworem wody z gliceryną. Można w ten sposób otrzymywać odbicia we wszystkich prawie kolorach, oddające wzór do najdrobniejszych szczegółów. Taka fizyotypia warta ma być tyle, co najlepsza fotografia, posługiwać się nią można zarówno dobrze dla litografii, odbić na drzewie, emalii, metalu itp. Kwiaty oddaje z nadzwyczajną dokładnością.

Dezinfekcya wagonów kolejowych nigdzie dotychczas nie jest stosowana racyonalnie. Bawarya pierwsza zaczęła ją prowadzić u siebie z całą ścisłością. Wagony przed każdem wyruszeniem w podróż zamykane są hermetycznie, poczem do wnętrza ich wnoszą piecyk, zawierający ciężary metalowe rozpalone do czerwoności i leją na nie roztwór formaldehydu. Po upływie siedmiu godzin wagon zdezinfekowany jest zupełnie.

Z PRASY.

— *Warsz. Dn.*, wspominając o wiadomości, dotyczącej zamierzonych jakoby reform przepisów cenzuralnych, zaznacza, że obowiązująca ustawa cenzuralna zawiera ogromne braki z prawnego punktu widzenia. Szczególniej niejasno jest zredagowany rozdział ustawy (§§ 93 do 113), zawierający wskazówki dla cenzorów. Ogromną samowolę postępowania daje cenzorowi § 94 ustawy, traktujący o artykułach przeciwko wierze oraz § 96, przeciwdziałający szerzeniu waśni plemiennych. Paragraf 97 nie uwzględnia krytykowania obowiązujących postanowień, dopóki złe strony tych postanowień nie ujawnią się w praktycznem zastosowaniu. Par. 98 zabrania wymieniać osoby i instytucye przy omawianiu nadużyć administracyi. Par. 102 nie pozwala pisać nic, coby obrażało nawet rządy państw zagranicznych. Ostatni wreszcie paragraf (113) głosi, że „przy cenzurowaniu artykułów, dotyczących instytucyj: wojskowych, sądowych, skarbowych i instytucyj ministeryum spraw wewnętrznych, cenzorowie winni się kierować specyalnymi w tym względzie przepisami,“ co nakazuje nawet najbardziej inteligentnemu cenzorowi liczyć się z kategorycznym duchem tego rodzaju wskazówek.

Z tego wszystkiego pokazuje się — konkluduje autor — że przepisy o cenzurze prewencyjnej są przestarzałe i domagają się zmian radykalnych. (z *Gońca*).

— *Nowosti* w nr. 292 zamieściły obszerny artykuł, rozpatrujący obecne położenie i przyszłość Polaków w państwie rosyjskiem:

„Nie możemy dać Polakom tego, co im dała Austrya. Wobec olbrzymiej przewagi żywiołu rosyjskiego wśród ludności i warunków ustroju wewnętrznego, nie mogą, wchodzące w skład państwa, dzielnice obcoplemienne korzystać z autonomii na wzór Galicyi. Ale to powinno już i dla samych Polaków rosyjskich nie podlegać wątpliwości.

Obecnie już i sami Polacy nie stawiają kwestyi na gruncie autonomii Królestwa Polskiego, ale i nie mogliby tak jej stawiać, ponieważ takie wymaganie nie odpowiadałoby dwom strasznym doświadczeniom, jakie przeżyli, oraz temu realnemu położeniu, w jakiem się teraz znajdują. Wszakże już od 35 lat niema w Królestwie Polskiem ani cienia samorządu.

Niema tam ani instytucyj ziemskich i szlacheckich, ani zarządów miejskich z wyborów, ani sądów przysięgłych, a gmina wiejska znajduje się w całkowitej zależności od komisarza włościańskiego i naczelnika powiatu. Wszystkie wyższe urzędy obsadzone są przez urzędników rosyjskich, postępowanie sądowe i czynności kancelaryjne odbywają się wszędzie w języku rosyjskim. Literatura polska w uniwersytecie warszawskim wykładana jest w języku rosyjskim. Któż z Polaków mógłby spodziewać się przejścia z takiego położenia do autonomii Królestwa Polskiego?“

Przechodząc od faktów do dezyderatów, cytowany organ tak pisze:

„W obecnem położeniu Polaków nastąpi już znaczne polepszenie, gdy gubernie Królestwa otrzymają te wszystkie urządzenia, jakie istnieją w rdzennych guberniach państwa i jeżeli Polacy w całej Rosyi uzyskają zupełne równouprawnienie. Więcej, niż uchylenia wszystkich praw wyjątkowych, i więcej, niż zupełnego równouprawnienia Polacy nie powinni oczekiwać od państwa. Ale i państwo nie ma już powodów odmawiania guberniom polskim i Polakom w całej Rosyi całkowitego zrównania w prawach.

Ostateczne rozstrzygnięcie kwestyi polskiej w Rosyi na całkiem realnej i sprawiedliwej podstawie całkowitego równouprawnienia niezbędne jest dla wyjaśnienia przyszłej roli Rosyi w słowiańszczyznie. Dopóki bowiem kwestya polska znajduje się w obecnem położeniu, dopóty jest ona źródłem niedowierzania dla innych Słowian i będzie przeszkodą na drodze zbliżenia ich z Rosyą.“

— *Ruś* w artykule p. t. „Podatek od pism i dzienników“ pisze:

„Nowy projekt podatku przemysłowego, opracowany przez ministeryum skarbu dla zwołanej na listopad komisyi do przejrzenia podatku przemysłowego, proponuje pociągnięcie do opłat wszelkiego rodzaju wydawnictw peryodycznych. Te ostatnie będą podzielone na cztery kategorye, stosownie do ilości egzemplarzy, czyli do ilości prenumeratorów. Tym sposobem wydawnictwa duże będą musiały płacić około 1,000 rb. (łącznie z opłatami ziemskiemi i miejskiemi) zasadniczego, dorocznego podatku przemysłowego, niezależnie od opłaty podatku dodatkowego od czystego zysku.

Jest rzeczą wątpliwą, czy podatek ten będzie mógł przynieść tyle pod względem materyalnym, ile zabierze pod względem społecznym. Prawdopodobnie zresztą ani jedna gazeta nie odmówiłaby płacenia podatku „przemysłowego,“ gdyby prawo zrównało jej prawa do istnienia z prawami pierwszej lepszej fabryki kaloszy gumowych. Dopóki zaś gazety żyją nie na mocy swego prawa, ale jedynie na mocy „sztuki“ ich kierowników, niepodobna będzie dowieść zasadniczej podstawy podatku „przemysłowego“ na gazety i pisma. Podatku od „sztuki“ nie zna żadne prawodawstwo.“

— W rubryce miejskiej jednego z ostatnich numerów *Now.* znajdujemy notatkę następującą:

„Dnia 7 listopada, o godz. 2 po południu, po wiecu w gmachu uniwersytetu petersburskiego, tłum studentów ze śpiewem i okrzykami skierował się wybrzeżem Newy, przez most Pałacowy na prospekt Newski. Tutaj tłum podzielił się na dwie grupy. Pierwsza w liczbie około 200 ludzi poszła po lewej stronie prospektu Newskiego, śpiewając t. zw. „Marsyliankę,“ druga zaś, złożona z przedstawicieli konserwatywnej partyi „Dennica,“ skierowała się prawą stroną, śpiewając hymn. Na drodze pochodu studentów zebrało się mnóstwo ciekawych. Obie wrogie partye obrzucały się nawzajem protestami, gwizdaniem itp., przyczem ich zobopólny stosunek nabierał niekiedy tak ostrego charakteru, że groził bójką ręczną. Przybyły wkrótce pomocnik naczelnika miasta, generał major Wendor i policmajster miejscowy przekonali manifestantów, którzy doszli do ulicy Sadowej i stopniowo rozpraszali się, aby rozeszli się zupełnie, i do godz. 4 prospekt Newski przybrał swój zwykły wygląd. Tym sposobem spokojne zachowanie się policyi wobec „manifestacyi“ znowu wpłynęło na jej zmniejszenie się i zakończenie bez wszelkich zajść.“

WIADOMOŚCI URZĘDOWE.

W *Warsz. Dniewniku* czytamy:

„W niedzielę, d. 13 b. m., o godz. 12 m. 20 w południe, przed samym końcem nabożeństwa, z kościoła Wszystkich Świętych wyszła na plac Grzybowski niewielka, zwarta grupa, która wywiesiwszy czerwony sztandar, zaczęła śpiewać pieśni treści rewolucyjnej i w tym samym czasie padły z pośród niej strzały do posterunku policyjnego, które zabiły na miejscu policyanta Prokopa Szimanica i zraniły starszego dozorcę rewirowego oraz dwóch innych policyantów.

Z kolei policya ze swej strony zmuszona była użyć broni, przyczem dozorca rewirowy, do którego dano zblizka dwa strzały, uderzeniem szabli powalił strzelającego. Potem tłum manifestantów rozproszył się i znaczna jego część skierowała się do portyku, pomieszawszy się z publicznością, wychodzącą z kościoła, w którym podówczas nabożeństwo już się skończyło.

Z portyku w dalszym ciągu strzelano do policyantów i rzucano kamieniami, wskutek czego wyjście z kościoła otoczyli policyanci i oddziały żandarmów, oraz przybyłe na wezwanie wojsko.

Tłumowi, stojącemu w portyku i w kościele, oberpolicmajster zaproponował, aby odłączyli się starcy, kobiety i dzieci, którzy też swobodnie byli wypuszczeni po za kordon.

Zaraz potem część tłumu, biorąc czynny udział w zamieszkach, weszła na powrót do kościoła, pozostali zaś w liczbie 413 osób, pod konwojem piechoty byli odprowadzeni na podwórze ratusza, gdzie spisano ich nazwiska i po stwierdzeniu tożsamości, częściowo ich uwolniono.

W tymże czasie demonstranci, zbierali się oddzielnemi grupami na ulicach, przylegających do placu Grzybowskiego i ze

śpiewem pieśni rewolucyjnych, oraz strzelając, kierowali się na plac Grzybowski.

Na ul. Bagno tłum, nie bacząc na wezwanie policyi do rozejścia się, szedł w dalszym ciągu rzucając kamieniami i strzelając do policyi i do wojska.

Jednocześnie z położonego przy tej ulicy domu dano kilka wystrzałów; wskutek tego po nowych, kilkakrotnych ostrzeżeniach oddział wojska, znajdujący się na ulicy Bagno, był zmuszony dać salwę.

Z pomiędzy demonstrantów, jak wyjaśniły zebrane wiadomości, 6 ludzi zabito, a 26 raniono.

Osobom, pozostałym w kościele, oberpolicmajster, w obecności proboszcza, dwa razy proponował wyjście dobrowolne, ale pomimo przekonywania, one tam w dalszym ciągu pozostawały i dopiero po upływie kilku godzin wyszły stamtąd i w liczbie 205 ludzi były odprowadzone pod konwojem na podwórze ratusza, gdzie je spisano i częściowo wypuszczono.

Ani policya, ani żandarmi, ani wojsko do kościoła nie wchodzili.

O godz. 4-ej po południu porządek był przywrócony i nie zakłócono go już w ciągu dni następnych.

KRONIKA.

Wiadomości społeczne. *Kur. Warsz.* donosi: W uniwersytecie warszawskim wywieszono zawiadomienie warszawskiego oddziału Banku państwa o wakujących obecnie w Banku państwa posadach, które mogą być ofiarowane kandydatom z wyższem wykształceniem. Zgodnie z ogólnymi przepisami, kandydaci, kończący uniwersytet, mieć będą na służbie pierwszeństwo przed innymi, nieposiadającymi dyplomów uniwersyteckich.

— W *Warsz. Dniew.* czytamy: „D. 1 listopada z okoliczności święta Wszystkich Św., na cmentarzu Bródzieńskim na Pradze był wielki napływ ludu. Gdy ściemniało, na jednej z alei cmentarza ktoś rozwinął czerwony sztandar, a grupa ludzi, śpiewając, ruszyła przez cmentarz. Jeden z policyantów stanął wpoprzek tłumu, lecz dano do niego 7 wystrzałów, na które on odpowiedział strzałem w człowieka, niosącego czerwony sztandar. Policyant otrzymał ranę w głowę w okolicy ucha, lecz sam ranił niosącego sztandar w plecy. Publiczność, nie chcąc brać udziału w manifestacyi, bardzo szybko opuściła cmentarz, a manifestanci, przeląkłszy się, sami rozproszyli się przed nadejściem oddziału wojskowego. Tegoż dnia do szpitala św. Rocha zgłosił się na kuracyę człowiek, ranny kulą typu wojskowego, utrzymując, iż przyjechał z Pragi. Człowiek ten niósł czerwony sztandar podczas zaburzenia na cmentarzu. Druga manifestacya uliczna odbyła się w sobotę, d. 5 b. m., o godz. 6½ wieczorem na Nalewkach, gdzie grupa 7 lub 8 ludzi, otoczona tłumem około 100 ludzi, w ciągu kilku minut rozrzuciła około 800 proklamacyj i poraniła nożami dwóch policyantów. Nie napotkawszy żadnego współczucia wśród publiczności, manifestanci ukryli się przy zjawieniu się oddziału policyjnego.“

— Kasa miejska otrzymała pozwolenie ministeryum na wydanie warsz. Tow. dobroczynności 50,000 rb. zapomogi dla rodzin zubożałych skutkiem braku [illegible]

— Podniesiono projekt zatrudnienia żon włościan rezerwistów przy utrzymaniu torów kolejowych. Z podobnym zamiarem nosi się zarząd akcyzy, projektując obsadzenie wszystkich posad w sklepach monopolowych kobietami z rodzin żołnierzy powołanych do służby czynnej.

— Przed sądem ławniczym w Gnieźnie stawali członkowie Tow. „Sokół“ pod zarzutem łączności z [illegible] kobiecem, utworzonem wskutek zakazu zapisywania się na członkinie do „Sokoła“. Sąd oskarżonych uwolnił, zaś kobiety skazał na kary po 10 marek.

— W sądzie kryminalnym w Moabicie w Berlinie dwu świadków odmówiło złożenia przysięgi, tłomacząc się tem, że należą do sekty dysydentów, która nakazuje „nie brać imienia Pana Boga nadaremno“ i „być Bogu więcej posłusznym aniżeli ludziom.“ Kiedy żadne perswazye nie pomogły, przewodniczący sądu skazał świadków na 30 marek kary. Wywołało to burzę w prasie wolnomyślnej, która twierdzi, że „kary, nakładane za krzywoprzysięstwo, więcej zdziałają, niż powoływanie się na Boga.“ (*Gaz. Pols.*).

Szkoły i wychowanie. W politechnice warszawskiej na 362 podań studentów o uwolnienie od wpisu, uwzględniono całkowicie: na wydziale mechanicznym 80 studentów, na budowlanym — 33, na chemicznym — 51 i na górniczym — 13. Od połowy wpisu uwolniono na wydziale mechanicznym — 49 studentów, na budowlanym — 37, na chemicznym — 18 i na górniczym — 6. Nie uwzględniono 19 podań studentów wydziału mechanicznego, 15 podań — budowlanego i 31 podań — wydziału chemicznego; ogółem nie uwolniono od wpisu 65 studentów.

— Minister oświaty podczas pobytu w Nowej Aleksandryi pozwolił przyjąć z powrotem 111 studentów, wydalonych w sierpniu r. b.

— Opłatę szkolną w gimnazyum męzkiem w Częstochowie podwyższono do 60 rb. rocznie.

— W uniwersytecie warszawskim w pierwszem półroczu r. b. uwolniono od wpisu 123 studentów.

— Dziekan wydziału historyczno-filologicznego uniwersytetu warszawskiego zawiadamia, że z zapisu Olimpii Jankowskiej wakują trzy stypendya po rb. 200 dla studentów pochodzenia polskiego, wyznania rzymsko-katolickiego. Odpowiednie podania wnosić można do dnia 17 grudnia r. b.

— Dla zdających egzamin w prywatnych gimnazyach żeńskich ustanowiono taką samą opłatę na rzecz egzaminujących, jak w zakładach rządowych.

— Panie dr. Bienenfeld i dr. Eder mianowane zostały samodzielnymi lekarzami-ordynatorami [illegible] talach wiedeńskich.

Literatura i prasa. Po przerwie rocznej zaczął na nowo wychodzić *Przegląd zakopiański.*

Z muzyki. Towarzystwo muzyczne ogłosiło konkurs z zapisu Józefa Kuryerowa, dla kompozytorów polskich, na utwór oryginalny, oparty na tematach polskich, do konkursu kwalifikują się następujące dzieła: a) utwór na chór mieszany szerszych rozmiarów (np. kantata) do tekstu polskiego, o wartości literackiej, z towarzyszeniem orkiestry, organów lub fortepianu; b) utwór na chór mieszany *a capella*, do tekstu polskiego o wartości literackiej, charakteru wolnego. Nagroda 180 rb. w razie nadesłania dwu prac równorzędnej wartości ma być rozdzielona na 100 i 80 rb. Prawo własności zostaje przy autorze. Termin do d. 20 lutego 1905 r.

Sprawy ekonomiczne. Warszawskie Towarzystwo melioracyjne projektuje założenie w obrębie Królestwa stacyi doświadczalnej do prowadzenia badań i obserwacyj nad wykonywaniem robót irygacyjnych, osuszaniem błot, urządzaniem rolniczo-gospodarskich instalacyj wodnych itp. Przy stacyi ma być urządzona szkoła dla dozorców robót melioracyjnych. Za najodpowiedniejsze miejsce dla przyszłej stacyi uznano okolice Międzyrzecza w gub. Siedleckiej.

— W Mławie zawiązało się pierwsze w kraju powiatowe Stowarzyszenie rolnicze.

— Ze względu na podwyższenie przez Tow. ubezpieczeniowe taryfy od wypadków przy pracy, przedstawiciele Towarzystwa kcyjnych, przemysłowych wnieśli podanie o zatwierdzenie osobnej instytucyi w celu ubezpieczenia i odszkodowania robotników, pracujących w fabrykach w Królestwie Polskiem.

— Zarząd kopalni donieckich ogłasza zapotrzebowanie około 700 górników z płacą od 75 kop. do 1 rb. 60 kop. dziennie.

— *Swiet* donosi, że ministeryum skarbu odrzuca wszelkie projekty i przedsięwzięcia, wymagające znacznych wydatków, albowiem wyjątkowe rozchody państwa w r. b. nie pozwalają na wyczerpanie funduszu bez ostatecznej konieczności.

Zmarli. Tadeusz Zaturowicz, literat i publicysta, redaktor *Trybuny*, we Lwowie.

— Adolf Teodorowicz Marks, wydawca *Niwy* rosyjskiej, w Petersburgu.

Odpowiedzi Redakcyi.

Prenumeratorowi w Łomży. O ile wiemy, podręcznika niema. Niech Pan się jednak zwróci do Księgarni Naukowej, Krucza 44.

P. Kril. w Warszawie. Sonet nie do druku.

P. Ignacemu R. w Charat. Już uwiadomiliśmy Pana, że dr. Jan Androszewski żadnych pod tym względem ograniczeń nie stawia.

Autorowi „Sclavus soltans.“ Nadesłany artykulik nie może być wydrukowany.

Redaktor i Wydawca A. Dembowski.

Дозволено Цензурою Варшава, 4 Ноября 1904 г. Warszawa. Druk K. Kowalewskiego, Mazowiecka 8.